



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG.

EXPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebiera i Spół., kwartal. 5 marek

W szarej godzinie.

Patrz! szary mrok otula nasze twarze...
Chodź, droga, tul — pieszczotą otocz mnie!
W uścisku twym niech cicho, rzewnie marzę!
Twój słodki głos niech czary w serce tchnie!
Stargana myśl w bolesnych dum rozgwarze,
Niech spocznę już w rozkosznych marzeń śnie!

*

Przyniosłem tu swe bóle, niepokoje
Przyniosłem tu swej doli twardej lzy...
I wiem, że wnet szalę myśli swych ukoję,
Że ślady łez z mej twarzy zetrzesz ty...
Gdy słyszę tu, jak bije serce twoje,
Znękana pierś zachwytem błogim drży.

*

Ach! śpiewaj wciąż! — ach! śpiewaj tak radośnie!
I szczęścia świt piosenką swoją wróż!
Ach! śpiewaj mi o słońku i o wiosnie —
O wiosnie tej, co dawno zgasła już!
Cichy twój głos w zachwycie ducha rośnie...
Widzę darń pól... oddycham wonią róż...

*

Lecz zmiłkła pieśń, czarownej ciszy rada...
Zdradziecko tak z ciemności czarnej tam
Ponura twarz tęsknoty się wykrada
I pełne łez śle oczy smutne nam...
I idzie tu, jak cień, posepna, blada...
Ach! serce już tęsknoty pełne mami...

Antoni Pilecki.

DROGA PRZEZ LAS

POWIEŚĆ

przez

AUTORKE „NA STARYM GRUNCIE”.

(Dokończenie).

Pogrzeb odbył się niemal wspaniale. P. Władysław rozpiął listy do okolicznych obywateli, proboszcz sprostił księży, ludu zebrano się też mnóstwo, bo nieboszczyk miał tu dobre imię, a przytem chłop żałuje zawsze „pana z panów”, gdy go los straci na niższy szczebel drabiny społecznej. Marysię bladą jak śmierć, a łez z oczu dobyć niemogącą, prowadził za trumną poważny pan z siwą brodą, kolega niegdyś szkolny nieboszczyka, gdy przecież skończyła się smutna ta uroczystość, gdy rozjechano się już sierota, którą

na wszystkie strony proszono do siebie nadaremnie, została sama jedna w opustoszałym dworze starym, bo i p. Władysław do domu jechać musiał, gdyby nie Janek. Ponieważ miał na sobie mundur uniwersytecki, ludzkiego brali za jakiegoś krewnego Marysi, który na pogrzeb przyjechał. Ten i ów zapytał: — Kto to jest? że przecież nikt odpowiedzieć nie umiał, nie troszczono się więcej o niego i tylko p. Władysław, ściskając mu rękę przy pożegnaniu, smutnie powiedział: — Nie odjeżdżaj jej zaraz...

I nie odjechał też. Jak za czasów choroby nieboszczyka ulokował się w starym domku niegdyś ogrodnika, poza sadem, który pustką stał, tak też tam pozostał, a że lekarzem go nazwano zaraz za przybyciem do Borek, raz po raz pacjent jaki do niego się zgłaszał i radził mu musiał, nie przecież za to nie przyjmując. Mówił wręcz, że nie ma prawa leczyć, że tylko wiedząc nieco więcej w tym kierunku niżeli ci, którzy się do niego zwracali, pomagać im nieco może, że zaś widziano go nieraz gdy z p. Władysławem, a szczególnie z kanonikiem, z księdzem wikarym rozmawiał jak równy z równymi, zapomniano w nim dawnego Janka, i przylgnęła do niego nazwa lekarza z Warszawy, albo „skubenta”. Bywało, że nieraz do karczmy w Niedzielę zachodził; ale tu tylko pomiędzy starszymi mógł się usiąść, bo młodszy do niego nie lgnął, dziewczuchy chichotały tylko, gdy z którą rozmowę rozpoczął i spostrzegł, że snadź już go między siebie przyjąć nie chcą. Rzecz byłaby może poszła inaczej, byłby tu prawo obywatelstwa otrzymał, gdyby był innym niż był — gdyby dziewczuchy do oberka gwałtem brał, na odsiebkę się z niemi wykręcał; ale nie miał do tego humoru, którego brakowało i wsi całej, bo starego pana żałowano bardzo, żałowano i Marysi. — Ostała się nieboga samusienka, nikiej palec — mówiono.

Rzeczywiście zaczęło się teraz dla niej samotne, pustelnicze życie, zwłaszcza, że to był ten czas

letni, który się dla jej uczniów wakać musi, bo i dzieci były rodzicom potrzebne. Co rok tak bywało, tylko że wtedy obok ojca i ona to za czas miłego odpoczynku uważała, teraz przecież wolałaby mieć pracę obowiązkową. P. Władysław już obecnie nie mógł często tu zajechać, kanonik tak jak i wikary, zwykle w niedzielę tylko zachodzili do starego dworu i byłoby ją ogarnęła samotność przytłaczająca, gdyby Janek nie czekał pilno tej chwili, gdy nad wieczorem, skoro się już chłodniej robić zaczynało, szklane drzwi otwierały się na ogród. Z początku nieśmiało, niemal lękliwie, ukazywał jej się, książkę od niej wziętą, lub też dla niej przynoszoną, jako powód wizyty stawiając, aż zwolna weszło to w zwyczaj a ona smutna witała go wdzięcznym uśmiechem. Świat konwenansów daleko poza nią został; nie należała już do niego tak, że zapomniała praw które stanowił, zapomniała myśleć na nie się oglądać. Jeszcze za życia p. Kazimierza wzięła na opiekę swoje dwie dziewczynki, dwie siostry, sieroty bez ojca i matki; jedna dziesięć, druga coś niewiele więcej na jedenaście lat miała, i to było teraz całe jej towarzystwo. Gdy ogarniała ją żale, smutek, przez samotność spotęgowany, mówiła sobie, broniąc mu się, że to konieczny los ludzi w jej położeniu, los kobiet samotnych. Gdyby się była wyniosła do Warszawy, cóż miasto dałoby jej więcej? Trochę gwaru i widok ruchu, poza którym stałaby zdaleka, może silniej osamotnienie swoje czująca.

Janek nie mógł zrazu pewnego onieśmienia w stosunku do niej się pozbyć, ale zacierało się to powoli i gdy w Niedzielę, jak bywało najczęściej, kanonik z wikarym przybywał na herbatę do dworu, jak przez nawyknięcie stare wszyscy mówili, i on stał się często wymownym. — Jak ten chłopiec zadziwiająco się wyrobił! — powtarzał też raz wraz kanonik, co potwierdzała i ona. Mówiła mu teraz: — Panie Janie...

Gdy po kilku tygodniach odjechał, uczuła wielki brak, prawie pustkę w życiu. — Pisz pan czasem... — rzekła przy pożegnaniu niemal mimowolnie.

I pisywał; pisywał zrazu nieśmiało, krótkie listy, które przecież z czasem stawały się coraz dłuższymi. Ona odpisywała i zwolna stało się to dla niej potrzebą, ta wymiana myśli; poza zajęciem obowiązkowym była to nawet jej jedyna furtka wybiegnięcia w świat szerszy spraw i uczuć ludzkich. Czasem prosiła go w tych listach o zrobienie dla niej jakiego sprawunku: kupienie tej i owej książki, zaprenumerowanie pism, bo na ten zbytek, jedyny zresztą w jej życiu, mogła sobie pozwolić. Jej praca, przeniesiona na grunt miejski, ledwo-by jej na kawałek chleba — na bardzo skromny kawałek chleba starczyła i kapitalik mały, w listach zastawnych teraz trzymany, byłby się niewątpliwie, jeżeli już nie wyczerpał, to stopniał do bardzo małej sumki, ledwo starczyć mogącej na ratunek pierwszy w chwili jakiejś nagłej potrzeby. Ponieważ tu przecież stosunki życia były inne, mogła go nie naruszyć, mogła utrzymać się z pracy swojej, nie pozabawiając się zadowolenia tych koniecznych potrzeb cywilizowanego człowieka, których pozbawiony zapada zwolna w ciemnotę umysłu. Janek, a raczej p. Jan nieraz jej coś przysyłał od siebie, nieraz ona prosiła, aby przez przyjaźń dla niej coś takiego przeczytał, co chciała, aby się w umyśle, w sercu jego odbiło, bo pragnęła, aby się ustrzegł jednostronności, nie utonął całkowicie w zawodowej swej pracy. Coraz stawali się bliższymi sobie, aż niespodziewanie Janek zjawił się w Borkach na święta Bożego Narodzenia. Przyjechał rano w samą wigilię; w karczmie mały tłumoczek swój złożył a potem do księdza wikarego się udał, protekcyj jego szukając. — Tak mnie rozbałamucił pobyt tu mój letni, że nie wytrzymać w mieście nie mogę... mówił. Chciało się tu zajrzeć, na Pasterce kolendę zaśpiewać...

Ksiądz go uściskał. — Dobrze, dobrze jest z tobą, mój synu, żeś się mimo zmiany położenia nie oderwał sercem od rodzinnego kąta — rzekł mu wzruszony i krzyż nad głową jego skreślił.

— Marzę o tem, aby po skończonych studiach tu osiąść, wiejskim lekarzem się stać — rzekł Janek. — Jest tak gdzieś indziej, dla czegoż i u nas być niema?.. Wielkich zysków dla życia mego nie pragnę, a raczej pragnę tego największego z pośród wszystkich, aby żyć pożytecznie...

— I tu... dodał. Rumieniec mu po licu przeszedł, a ksiądz brał to za wzruszenie młodzieńczego zapału i rękę mu uściśnął. — Prześpij się tu u mnie, chłopcze kochany, abys potem przy dobrym humorze stawiał się do dworu z nami, to jest ze mną i z kanonikiem. Po staremu u naszej p. Marysi na wigilię będziemy, a i ty pewno z tego rad jesteś. Poczciwości i zacności to osoba...

Jemu znów płomień rumieńca po licu przeszedł. — Ja-bym pragnął życie całe na jej usługi oddać... na kolanach tylko do niej się przybliżać... — zawołał namiętnie.

— Bom chłopski syn... dodał, bojąc się czy nie za gorące słowa na usta mu się wyrwały, ale ksiądz kładąc mu rękę na ramieniu, rzekł: — Gdybyś królewiczem się rodził, powtórzyć-bys to mógł śmiało. Zacność serca tej panny dała jej prawo do szacunku takiego u ludzi, a i rozum ma niepospolity. Urządziła sobie życie szczęśliwie, bo mądra jest przez cnotę: pychy, próżności w niej zgoda niema i zmiany majątkowej nie wstydziła się też, bo to nie hańba ubogim być, jeżeli tylko kto grosza nędźnie nie roztrwonil, lub przez nierozum utrzymać go nie umiał. Co by ona nieboga robiła tam w mieście, gdzie dość już jest rąk do pracy — jakby się przebiła przez tłumy, zabierając w szeregu miejsce uboższemu jeszcze od niej? Nasza Marysia, powtarzam, mądra jest; przez tę mądrość umiała się pozbyć wstydu pracowania na chleb tam, gdzie ją ludzie znają, a ta to fałszywa duma pcha najwięcej zubożonych szlachciców naszych do miasta, gdzie dojadają resztek posiadanego grosza. Niektórym się zdaje, że się przed nimi powinny wszystkie drzwi otworzyć dlatego, że jeden jest Korab, a drugi Jelita... ale na nie-szczęście niełatwo odmykają się takie Sezamy, gdzie można na skinięcie panem zostać... Smutne, smutne to rzeczy...

Ksiądz, ucztowawszy Janka dobrą kawą, zaraz potem do drugiego pokoju gwałtem go zapakował, kazał mu się spać położyć: — Wyśpij mi się waszeć, abys pięknie, dziarsko w gościnie u naszej przeznaczonej panusi wyglądał, a potem na pasterce, jak się należy, śpiewał: — Zagrzmiało... zadrżała w Betleem ziemia...

Zaintonował basem słowa ostatnie na znaną po wszystkich wsiach naszych nutę kolendy i Janka, wesoło w głowę go ucałowawszy, w sypialnym pokoju swoim zamknął. — Nie lada to charakter tak się o własnej sile na wierzch wybić... szepnął sobie.

— A gdyby też... gdyby też wywiązało się coś z tego jego bywania tutaj? — dodał lecz zaraz potem głową potrząsnął.

— Nie... ani pomyśleć można... chłopski syn z tejsamej wsi...

Marysia dowiedziała się wkrótce o przybyciu Janka. Ksiądz wikary, posyłając kollatorce, jak niezmiennie Marysię nazywał, pięknie przystrojona paczkę opłatków na kolendę, uwiadomił ją o tem listownie, zapytując z kolei, czy może w jej imieniu gościa na wigilię wieczór do niej zaprosić, a ona, czytając to, spłonęła cała rumieńcem róży. — Proszę, proszę bardzo uczyn to ksiądz dobrodziej... odpisała żywo i, można powiedzieć, dziwnie się rozjaśniła; wróciła się rumieńcem, ruchem żywego krzątania się po domu, jakgdyby do lat dziewczęcych i aż zawstydziła się tego sama, skoro spostrzegła w sobie to ożywienie, niezwykłe teraz u niej, i które też wyrzucała sobie: — Gość, którego lubimy jest rzeczą miłą, miłą szczególnie, gdy urozmaici nam życie tak ciche, tak jednostajne jak moje, gdy zwłaszcza dzień świąteczny rzuci nam jakiś promyk weselszego blasku, lecz za stara już jestem na takie dziewczęce radości... Karciała się, niemniej przecież nie mogła już w sobie za-

tlumić tego czegoś, co było radością. Przypomniała sobie nagle owe bukiety, niegdyś dla niej przez tego Janka, który dziś stał się p. Janem, po łąkach i lasach zbierane i malowane przez nią w trwodze smutnej, że się rozstanie wkrótce z tym drogim jej kawałkiem ziemi, na której się rodziła. Bóg pozwolił, że się tak nie stało, przywiązanie do tego kawałka starego gruntu jej rodu ocaliło ją od smutnego, niepełnego zdania się na łaskę i niełaskę losu wśród nowych, nieznanych życia warunków. Zwyciężyła w sobie przesąd, nie powstydziła się ucziwej pracy, uczciwego zarobku, który jej dał; stary, zmęczony życiem ojciec jej usnął tu spokojnie snem wiekuistym, a ona wiedziała, że ostatnie jego spojrzenie na nią było pełne wdzięczności za to, iż mieć tu będzie grób, gdzie przeżyła życie całe. Rozrzewniła się, czekała gościa z upragnieniem i wyciągnęła do niego ręce obie, gdy go ujrzała na progu swoim, a potem zaraz pokazała mu owe malowane bukiety. — Pamiętasz to, p. Janie? zapytała — pamiętasz?..

On się zapłonił, przecież nie wstydem przeszłości swojej i mimowoli podniósł na nią wzrok, który się spotkał z jej spojrzeniem. Księża jeszcze się rozbierali w przedpokoju z długich płaszców swoich, i oni byli parę minut sami ze sobą, lecz starczyło czasem ludziom, aby się rozegrały ich losy i tu tak było. Marysia pokazała obrazki i księżom, opowiadała jak ciężko jej było rozstawać się z kątem rodzinnym, puszczać się na niepewne losy wśród miejsc i ludzi mało znanych. — Bóg mi zesłał dobre natchnienie, że się tak nie stało... dodała. — Myślałam dziś właśnie ze smutkiem, czy takie, jak ja, robotnice na kawałek chleba mają tam kędyś w miastach, w Warszawie, święta podobnie miłe, wśród dawnych znajomych, wśród wspomnień przeszłości młodej?..

Wzruszyła się, rozrozumienia, była nprzejmą, miłą gospodynią, a do stołu wigilijnego posadziła swoje dwie wychowanki, ładne, miłe dziewczątka w modrych wełniakowych spodniczkach, w czerwonych gorsecikach kamlotowych, z zaplecionymi czerwona wstążeczką warkoczami. Wieczór zszedł bynajmniej nie smutnie; księża oddalili się około dziesiątej, przecież sanie kanonika czekały, aby powieść Marysię na Pasterkę, ale ona wolała iść pieszko, bo noc była bardzo cicha i pogodna, księżycowa, a ziemia i drzewa usniezione tworzyły przy srebrzystym oświetleniu dziwnie fantastyczny obraz, jakgdyby zaczarowanej krainy. Marysia przynajmniej doznawała takiego wrażenia. Anka i Nastusia biegly przodem, jak sarenki młode, ona postępowwała za nimi z Jankiem, słodko, łagodnie, szczęśliwa i tak ucieszona sercem, jak ta noc świąteczna. — Wzięłaś sobie pani dobrą część życia, obrałaś drogę prostą — ozwał się Janek po chwili — i ja naśladować cię będę... Wrócę tu po skończonym kursie nauki, po zdanym na lekarza egzaminie, wrócę...

Tu głos mu lekko drgnął i zamilkł, przecież nim doszli do kościoła, ona usłyszała spowiedź jego serdeczną, jak ukochał ją szalenie, bezrozumnie, jak miłość ta stała mu się dobrem natchnieniem dla życia, które przetworzyła. — Jestem może zuchwały, że śmiem to mówić, ja, syn chłopski, ale są chwile, w których usta milczeć nie mogą, jeżeli serce nie ma skamienieć w piersiach...

Ręka Marysi wyciągnęła się do niego. — Czyż ja nie jestem nauczycielką wiejską?.. — rzekła słodkim, łagodnym głosem, który nie drżał. Umiała być spokojnie szczęśliwą, jak ludzie serc czystych.

Moment jakiś panowało między nimi milczenie. Tak on, jak ona, mówić nie mogli, i tylko splecione ich ręce świadczyły, że pójda tak razem przez życie, pędzone cicho, spokojnie. Oboje czuli, że im tak dobrze będzie: zacisznie, bezpiecznie a przecież niesamolubnie. On jeszcze pracować musiał więcej, niż rok, aby egzamin na lekarza zdać, ona miała jeszcze na sobie czarną suknię żałoby; ale można czekać spokojnie na szczęście, którego pewność

posiadamy, i są to może najpiękniejsze chwile ludzkiego życia bez tych skaz i chmur, nieodłącznych od wszelkiego istnienia na ziemi.

I tak było z nimi. Ksiądz wikary nie wymówił Jankowi kwatery, zwłaszcza, że mu się przyznał do wszystkiego, a i proboszcz pobłogosławił z radością prawdziwą młodą parę. — Nasza p. Marysia przybiła do szczęśliwego portu — rzekł. — Niech jej Bóg błogosławi, bo zasłużyła sobie na to.

Wiedzieć o wypadku rozeszła się po okolicy; kanonik czy wikary zdradził tajemnicę, o co Marysia nie gniewała się przecież, bo dla czegoż miała to ukrywać? Miło jest być jawnie szczęśliwą, zwłaszcza, gdy szczęście jest wynikiem rozsądnego kierunku życia naszego, jak tu było właśnie, a wśród tego wszystkiego przyświecał tak jej, jak Jankowi promyśzek ideału. Czuli oboje, że ich szczęście, oparte na podstawie rozumnie pojętego życia, ma obok tego i strony użyteczne nie na własnego tylko życia rachunek. — Ukochana — rzekł jej też Janek w wigilię wyjazdu swego do Warszawy, gdy się wieczorem do jutrzejszego rana żegnali — ukochana, myśmy wzięli sobie w tej obranej przez nas pracy zarobkowej i ową część dobrą, o której mówi ewangelista, że pracującemu odebrana już nie zostanie: my tu stawiać się będziemy wzorem cywilizowanego życia wśród tych rzesz pracowitych, które przecież, jak woły pług ciągnące, trzymają głowy ku ziemi schylone, a człowiekowi potrzeba czasem podnieść wzrok ku górze — ku temu ideałowi, o którym Chrystus nauczał, iż jest chlebem życia. Chłop jestem, lecz smuci mnie to i rozżala boleśnie, gdy żywił inteligentny wśród wiosek znika, gdy gromady ciemne zostają się samotne o sile własnych natchnień tylko. Jak gwiazdy na niebie prowadzą podróżników przez łądy i morza, tak trzeba wszędzie i zawsze światelek, wśród przestrzeni rozsianskich — światelek, które wyznaczają kierunek cywilizowanych dróg życia.

Entuzjasta szlachetny wstał wzruszony i ona podniosła się również; otworzył drzwi na ganek ogrodowy i stanęli w nich obok siebie, para dorodna, a ręce ich splotły się uściskiem silnym, oczy podniosły ku przestworom gwiazdzistym, aż naraz usłyszeli rozlegający się wśród ciszy nocnej śpiew mężki. Głos był czysty, dzwiczny i młody, snadź drogą ode wsi szedł parobczak jakiś i zapatrzywszy się tak jak i oni w błękit, usiany światłami srebrzystymi, zaczął śpiewać starą kolendę o cudzie zjawienia się takim jak on prostaczkom duchów niebieskich: — Anioł pasterzom mówił... brzmiało wśród milczenia cichej nocy zimowej, a oni zasluchani stali obok siebie, aż on raz pierwszy otoczył jej kibić wysmukłą silnem ramieniem swoim. — Czekaj mnie ukochana... czekaj... mówił wzruszony — wróć tu na tę nowiznę zaoranego świeżo gruntu starego — czekaj mnie...

Marysia cicho i spokojnie zawróciła się przez otwarte drzwi ganku do pokoju i kluczykiem noszonym przy sobie na łańcuszku otworzyła starą, okutą brązem szkatułkę, z której wyjęła pierścień starożytny z krwawnikiem i podała mu go, słodko wzrok nań podnosząc. — To herb, to Poraj!.. zawołał Janek żywo, cofając się nieco w tył...

— To pamiątka moja rodzinna... pierścionelek zdjęty ze sztywniejącej ręki mojego ojca — zaręczynowy mój pierścionelek z tobą, Janku... odparła Marysia.

K O N I E C.

RUCH MUZYCZNY.

Miasto nasze koncertowało i upajało się piękną muzyką, niemal aż do świąt samych, — spora tedy garstka wrażeń z roku zeszłego wyczekuje na wspomnienie i obrachunek, który tem szybciej skutecznie należy, iż niewyczerpana w swej działalności Muza, wkrótce zapewne dostarczy świeżych rozrywek i ponęt. Życzymy jej z Nowym Rokiem, energii do wstępowania dalej na wyżyny, których pierwszym szczeblem były piękne koncerty Mozartowskie pobudzające rzeczywisty ruch artystyczny; życzymy również, aby mniej była kapryśną i niezdęciwaną gdy na afiszach teatralnych wypisuje swe obietnice. To ostatnie życzenie zda się żartobliwie sformułowane, wypływa jednak z przyczyn niekoniecznie krotocwilnych; ciągle i nagle zmiany w programatach przedstawień są bowiem źródłem zawodów, a często i nadaremnych kosztów. Na sobie samych doświadczyliśmy tego, dwa razy *malgré nous*, wysłuchaliśmy kilku rozczłonkowanych oper, w miejsce zapowiedzianej „Królowej Saby“ zanim na koniec udało nam się w tej operze usłyszeć pannę Russel i pana Gambarellego. Co prawda, nagroda za cierpliwość nie była ze wszech miar zadawalniająca. Opera uległa niektórym skróceniom i amputacyom roli głównego bohatera, na wystudyowanie której, zbyt mało czasu pozostawiono panu Gambarellemu. Młody śpiewak, dał dowody muzykalności, podchwytyjąc, gdzie się dało trudny watek swej solowej partyi, lecz w ansamblach i recitatiwach nie zdołał się utrzymać, a mimika i akcja zbyt szczerze zastępować musiały luki poczynione w śpiewie. Naturalnie, iż wszystko to chwilami dosyć niesmaczne sprawiało wrażenie. Panna Russel natomiast w roli tytułowej uwydatniła wszystkie interesujące momenta w sposób godny swojego artysty; z wyjątkiem scen w których swobodę psuł niefortunny Assad, śpiewała ze zwykłą sobie pewnością i przejęciem; ruchy zaś jej wdzięczne a zarazem prawdziwie majestatyczne, postać Królowej Saby na pierwszy plan wyniosły. Pani Dowiakowska zawsze *con riguardo* wywiązuje się z zadania, które podejmować musi, a p. Chodakowski artysta wytrawny, obok szlachetnego śpiewu, nie mało dołożył starań aby sztywność w jaką twórcą przyoblekł króla Salomona, o ile możliwości najmniej wykraczała poza estetyczne względy.

Dnia 14-go bieżącego miesiąca mieliśmy drugi wieczór kameralnej muzyki w Instytucie Muzycznym. Pp. Barcewicz, Stiller, Jakowski, Volanek, Malinowski i p. Januszewski, uczeń Konserwatorium (klasa waltorni) podjęli wykonanie ślicznego „Divertimento“ Mozarta Nr 17. Utwór ten, z sześciu części złożony, przykuwa słuch nastrojem swym oryginalnym i obfitością motywów jasnych, powabnych, we wszystkich odcieniach uczuć jakie stopniują, i bogactwami technicznego opracowania. Drugi numer programu, koncert fortepianowy Raffi op. 202 (pp. Strobl, Barcewicz, Jakowski, Cynk), wybranym był mniej szczęśliwie spośród licznych i wartości posiadających dzieł tego kompozytora; ani bowiem trudności techniczne któremi fortepian jest tu obciążony, ani akompaniament instrumentalny, nie dodają wdzięku i nie pomagają do rozwikłania myśli, rwących się lub przesnuwanych w tak cieniuchną przedzie, iż jej nie sposób dochwycić. Forma zarówno jak treść, szwankuje brakiem stanowczo określonych konturów, a z drugiej strony, pretensyi nawet mieć nie może do fantastycznych, rozbudowanych kształtów szumanowskiego nastroju. Ubóstwo kompozycji Raffi, tem przykrzej się uwydatniło, że nastąpił po niej kwartet smyczkowy Beethovena (F-dur Nr 7) tak pełen prawdziwego polotu i natchnienia. Tutaj słuchacz nie potrzebuje szukać wątków myśli, one same promieniają i ogarniają duszę, — a co do faktury, wiadomo, iż Beethoven, mistrz nad mi-

strzami, odpowiedni wyraz dla swoich idei zawsze odnaleźć lub stworzyć umiał. Interpretacja tak Mozarta jak Beethovena i Raffi, jednako była staranna, jeśli wrażenia odmienne, powodem nie środki, lecz cele; wątplimy bowiem stanowczo aby najbardziej wystudyowana i świetna gra mogła uczynić kwartet Raffi zajmującym.

W Towarzystwie Muzycznym, poraz wtóry uczczono pamięć Mozarta, koncertem wielkim, tym razem urządzonym staraniem p. Adama Münchheimera. Do wykonania sławnych dzieł, zalewanych zostało przeważnie siły amatorskie i przyznać trzeba, nader szlachetnie wywiązały się z zadania. Pan Münchheimer, ceniony z dawien dawna, jako wytrwały organizator i pracownik na polu sztuki, zaprowadził niebywałą karność w młodocianej orkiestrze Towarzystwa. Symfonia Es dur odegraną była z całą możliwą dokładnością i poszanowaniem. Chóry Towarzystwa Muzycznego, zasilone gronem uproszonych na ten dzień amatorów, dały nam słyszeć Hymn: „Ave verum corpus“ z towarzyszeniem orkiestry i fisharmonii na której akompaniował p. Blomberg. W „Allegro maestoso“ z koncertu Es dur, (z orkiestrą) przedstawicielką fortepianu była panna Łazarowiczówna, już niejednokrotnie z uznaniem tutaj wspomnianą pianistka, która inteligentną grą swoją i tym razem bardzo miłe sprawiła wrażenie. Za solowe numery wokalne, dzięki należą się: pannie Durand, oraz p. p. Czernickiemu i Horbowskiemu. Panna Durand wybrała arya Cherubiniego: „Voi che sapete“ z op. Le nozze di Figaro, jakby przeczuwając, iż nią zniewoli słuchaczy do gorących oklasków. Pan Czernicki, którego dawno nie słyszeliśmy, odśpiewał pieśń „do Chloe“ z czego mogliśmy ocenić, iż głos ongi nieco za słaby, nabrał mocy i swobody technicznej. Pan Horbowski wreszcie, z właściwą sobie precyzją oddał Serenadę z don Juana przy akompaniamencie orkiestry i mandoliny (p. Baumritter). Na zakończenie, kwintet z Op. Cosi fan tutte, odśpiewali z wielką starannością: panie Durand i Gundelach, p. p. Jeromin, Landau i Szajder. Ma się rozumieć sala Towarzystwa Muzycznego była przepełniona, a atmosfera gorąca, chcemy powiedzieć entuzjizm, który ogarnął publiczność, nowym jest świadectwem, że wielkie dzieła mistrzów byle dobrych znalazły przedstawicieli, zdolni są obudzić zapał i rozmiłować w swoich pięknych a podniosłych dziedzinach.

W zeszły Piątek, nadarzyły się jednocześnie aż dwie ponęty muzyczne: Koncert Lutni i przedstawienie „Fausta“ ze współudziałem pani d'Orio i pana Stefana Wołoszko.

Śpiewaczkę znamy już oddawna z występów koncertowych, lecz sympatyczne wspomnienia przeszłości rozwiały się obecnie. Jako Małgorzata, pani d'Orio daleką była od tej czarownej poezji, która owiewa ganedowską kreacyą, a na oddanie której, umieć śpiewać to jeszcze nie dosyć. Potrzeba, ażeby *timbre* głosu był świeżym i płynął srebrną falą, naginając się bez wysiłku do gry uczuć, przechodzących od słodkiej idylli do wybuchów radości i zachwytu, od serdecznych tonów miłosnej pieśni do wyrazu wysoce dramatycznego. Otóż materyał głosowy pani d'Orio, za mało już danych przedstawia do tak szerokiego pola popisu. Co zaś do akcji, wydawało nam się, jak gdyby śpiewaczka zstąpiwszy z piedestału koncertowej estrady, nie chciała, lub też lekkała się traktować scenę jako scenę, nie radząc onej wymowie poruszeń i gestów, które niezbędnymi są do odtworzenia żywej postaci dramatycznej. Pan Wołoszko, za forsowną może na debiut swój podjął partyę. Głos jego dzwiczny, młodzieńczy, o brzmieniu donośnem i sympatycznym, po zwyciężkim odśpiewaniu aktu pierwszego w dalszym ciągu opery zdradził znużenie i wysiłek; zatem poszło coraz większe chwieianie się w rytmice, coraz mniej trafna expressya, — tak, iż nawet pytanie się nasuwało co do muzycznego uzdolnienia artysty. Przed wydaniem wszakże stanowczego sądu, chcielibyśmy pana Wołoszko usłyszeć w innych operach, odpowiedniej aniżeli partya Fausta, wybranych w repertuarze scenicznym; powodzenie bowiem, dużo od tej trafności wyboru zależy. Ogólnie

mówiąc, mało przyjemnych wrażeń wynieśliśmy z tego przedstawienia, które, nacechowane było chwiejnością i niepokojem pierwszych debiutanckich kroków, niepodtrzymywanych dykcją energiczną, stanowczą, mogącą dać podporę niedoświadczonym jeszcze artystom.

W salach readowych, koncert „Lutni“ świetnie się odbył. Drużyna p. Maszyńskiego wybornie śpiewa i wzbogaca programy już-to głębokimi, poważnymi kompozycjami, jak tym razem: „Ave verum“ Mozarta, już-to wiązką nowych pieśni na ludowej niwie uszczelnioną, nie licząc szeregu innych, świeżo weszłych w program utworów. Lubo wykonanie każdego numeru, przyjmowano rzęsiście oklaskami, najwięcej pono zainteresowały motywa ludowe, tak proste a tak serdecznie umiające przemówić do duszy. Były to: piosenka: „Pisałem do Tatuła“ ujęta przez p. Niedzielskiego w harmonizację płynną i dźwięcznie wpadającą w ucho; „Prędzej, prędzej koniku“ w bardzo starannym i efektownym opracowaniu p. Polińskiego (oba utwory premjowane na konkursie Lutni) i „Góral“ zapewne tatrzańskich wyżyn echo, które p. Müncheimer zrzęcznie uchwycił, by w strojnieszkiej formie przyozdobić niemi literaturę muzyczną tego rodzaju. Miły niezmiernie koncert urozmaiconym był piękną grą panny Rajchmanówny, która wykonała: Romans Schumanna, Etiudę Moszkowskiego i Walca z Fausta (Gounod Liszt) oraz śpiewem solowym panny Kwiecińskiej, dźwięcznie rozbrzmiewającym w Aryi z Purytanów Belliniego, w „Uroczej pieśni“ Meyera-Helmunda i Walcu z Op. „Romeo i Julja“ Gounoda. Wreszcie kolendami pana Maszyńskiego, tą nutą przywodzącą na myśl starodawny obyczaj, sympatyczni śpiewacy pożegnali swoją publiczność.

Tradycyjnie rok rocznie urządzone staraniem p. Müncheimera, koncerty na dochód niezamożnych studentów, zawsze się pod każdym względem wybornie udają. Ostatni też który się odbył dnia 20 Grudnia, w niczem nie ustępował poprzednikom swoim, powodzenie bowiem zjednał mu jak zwykle cel sympatyczny, oraz współudział najznakomitszych artystów i najcelniejszych sił amatorskich. Dość powiedzieć, że występowała p-na Machwitzówna, której piękny śpiew tyle ma zalet; że p. Barcewicz wyśpiewał na skrzypcach swoich czarodziejskich: Nokturn Szopena i dwie śliczne pieśni węgierskie Nacheza; a p. Michałowski do ostatnich granic doprowadził entuzjizm słuchaczy koncertem C-mol Szopena i Berceuse nad programat wykonaną. P. Kastner w swej grze na harfie podziwiać kazał świetną technikę, a solowy kwartet męzki (pp. Kaczyński, Kurman, Skowroński, Stawe) ten który na konkursie „Lutni“ zdobył sobie pierwszą nagrodę, dał nam słyszeć kwartet Curtiego: „Lilia wodna“ i Schumana „Do oddalonej“ wykonane *en perfection*. Dalej p. Grabczewski, barytonista, ślicznie odśpiewał: „L'ultima serenata“ de Reva, pieśni Rubinstein i Tostiego, które stanowiły nadprogramową dań za rzęsiście oklaski. Pan Fiszer, deklamator już zjednanej sławy, nie odmówił także swojego współudziału we wspaniałym koncercie, rozpoczętym uwerturą Beethovena do tragedii „Koryolan“, odegraną przez orkiestrę Teatru Wielkiego pod dykcją pana Müncheimera. Oprócz aplauzów, które tłumna publiczność witała i żegnała każdego z występujących artystów, znalazły się naturalnie wieniec i kwiaty dla — najulubieńszych.

Trzeci i ostatni wieczór muzyki kameralnej, Konserwatorium Warszawskiego, mieścił w programie: Kwartet smyczkowy Schumanna A-mol op. 29, Trio Zelenkiego i Sextet Raffa G-mol op. 178. Pierwsze z tych dzieł pełne motywów interesujących, obrobione starannie i bogato, uchylbia jednak warunkom doskonałego piękna wskutek swej rozwickłości. Menuetto, gdzie miara odpowiednia do charakteru tej części jest zachowaną, czyni najmiłsze wrażenie. Trio Zelenkiego, w którym przedstawicielem fortepianu był p. Brykner, straciło dużo na efekcie wskutek zbyt rubasznego i szorstkiego traktowania fortepianowej partii, jako bowiem utwór podniosły, o subtelnych odcieniach i myślach głębszych,

wymaga ono interpretacji zarówno wykwiintnej i subtelnej. W Sextecie Raffa, do którego zasiadł jako pierwszy altowiolista p. Zygmunt Noskowski, najwięcej się podobało: Allegro molto, pełne ruchu a zarazem świeżej melodyjności, podniesionej oryginalnym wielce akompaniamentem.

Ogólnie biorąc, pod miłym wrażeniem opuściliśmy małą salkę Resursy Kupieckiej, gdzie się tyle dobrej muzyki słyszało, jest zaś nadzieja, że nowa serya takich przyjemności rozpocznie się z wiosną. Na tem zakończymy dzisiejszą pogawędkę, życząc czytelnikom z nadchodzącym Nowym Rokiem pomyślnych dni i dodatnich wrażeń.

Juljusz Stattler.

POWRÓT.

Śnieg padał od rana; ubielił dachy, pola, lasy i senniejszy znamię kładł na ziemię zmordowaną. Dzień to był uroczysty Wigilii Bożego Narodzenia. Drogi roili się od bryczek, wozów, sanek... Ten i ów śpieszył powitać swoich pożegnanych z żalem, niewidzianych oddawna. Na twarze wytryskał rumieniec radości, oczy śmiały się.

Pocztową bryczką zajechał przed karczmę podróżny niemłody, szczupły, wysokiego wzrostu. Twarz to była jedna z tych, o których mówi wielki poeta, że nie poznali-by ich ojcie gdyby z grobowców wstali. Wychudła, zczerniała, znać, że przechodziły po niej i wichry stepowe, i lzy, i rozpacz, i gniewy namiętne. Pod wysokim czołem tlały oczy czarne niewygasłym ogniem błyszczące, białe włosy wmieszane były obficie w czarny zarost i czarne pukle na głowie.

W karczmie panował ruch, gwar, głośnie rozmowy, nawoływania, więc na wejście nowego podróżnego nikt nie zwrócił uwagi.

On siadł cicho przy oknie i smutnym rozmarzonym wzrokiem wodził po śnieżnej równinie.

Wraczał z daleka, zza gór i mórz. Od wczoraj już chłonał w siebie to powietrze zimowe tak mu znane niegdyś. Odnajdywał w niem wonie dzieciństwa i młodości swojej, wonie najszerzejśliwszych niepowrotnych dni. Odurzył się nimi, upoił i dziwnych, przedziwnych mar tłumy powstawały w jego głowie. Nie był sobą. Stęskniona dusza jaknajprędzej powitać chciała stary pochyłony dom i tych, których w nim pozostawił przed laty. Czemuż teraz, gdy pół godziny drogi dzieliło go od nich zaledwie, czemu nie biegnie ile sił, ile tchu w piersi?

Ha, wątpliwości jakieś, niepokoje i obawy powstały widać w jego sercu i nie śmie zbliżyć się do rodzinnej zagrody. Radby wpierw o niej coś od obcych posłyszeć. Ojciec i matka w grobie, o tem on wie. W amerykańską puszcę przyleciała doń ta wieść. Ale brat, narzeczona, co z nimi?

Od ośmiu lat nie dawał im wiadomości o sobie. Co wiosną wybierał się z powrotem, więc już listu pisać było nie warto; wybierał się i nie jechał. Porywał go, unosił ze sobą wartki prąd amerykańskiego żywota. Pracował, zdobywał mienie, tracił i pracował znowu. A oni?

Pó kilku pytających, niespokojnych listach przestali pisywać i oni, i odtąd zaległ między nimi ocean i wielkie milczenie.

Czy żyją aby?

Karczma opustoszała tymczasem, za stołem pozostał tylko stary żyd z siwą brodą. Podróżny zbliżył się do niego, zażądał herbaty i wszczął gawędę. Dopytywał o okolice, o znajome mu niegdyś osoby. Ten umarł, ten się

wyniósł, tamtego nie było... wszędzie zmiany, groby albo ruina.

— Z przeproszeniem pana, pan zna te strony? — badał grzecznie żyd.

— Znałem dawniej, a w Zaborowie co słychać?

— Tam gospodaruje młody pan, oni dobrze się mają.

— Oni? Ożenił się?

— A jakie będzie temu ze siedm, ośm, może więcej lat i dzieci mają.

— A z kim, z kimże się ożenił?

— Ano z dawną panienką z Łętowic. Mówili, że ona ze starszym synem zaręczona, ale ten syn przepadł gdzieś i umarł podobno. Póki starsi państwo Zaborowscy żyli, ona była ciągle przy nich, a jak pomarli, to ona odjechała gdzieś, ale nie na długo, bo ją sobie pan Józef na panią sprowadził.

W tej chwili żyda odwołała żona, a podróżny pozostał sam. I zrobiło mu się tak jak wówczas, gdy w jakimś zaułku nowo-yorckim, umierał z głodu i pragnienia, tak mdło, duszno, źle. Ach jak źle! Nie wiedział czemu. Bez myśli pozostawał czas jakiś, błędnym wzrokiem patrząc przed siebie. Po chwili dopiero rozpacz straszna, piekielna zawyla mu w duszy.

Ha! więc po to tu wracał?! Więc to takich tutaj zostawił?

Ona! Ta ukochana jasna zorza jego, której czystym wspomnieniem koł ból, odpędzał pokusy, do której modlił się w godzinach upadku! I ten brat młodszy niby dziecko ulubiony!

Podli! Nikczemni!

Nie własna krzywda go bolała, ale to, że mu zszargali w kałuży obraz ich ożłocony i upięknioty tęsknotą oddalenia.

A teraz co? Co on teraz zrobi ze sobą? Ni mu wracać, ni mu pozostać. Chyba przywólkłszy się to pod ich próg, zdechnąć jak pies pod płotem!

Ha! Widać prawdę mówili ci, co nań wołali: „Nie wracaj“.

„Już nie zastaniesz tam nic z tego coś zostawił...“

On słuchał... Ale on tam zostawił dwie dusze w które wierzył może bardziej, niż w Boga samego.

Myślał, że wyjdzie ku niemu taka, jaką widział ją w chwili rozstania: poważna, silna, z zaświatową jasnością w oczach. A teraz ujrzył zgonę swego brata, matkę jego dzieci!

Pójdzie do nich. Ciśnie jej w twarz imieniem swoim i odejdzie z pogardą.

Ach po co? Przecież on kochał ich. Chce iść i cofa się. Bolesna ciekawość pcha go naprzód. Poszedł.

Mrok już zapadał, gdy, brnąc po miękiej, świeżo usypanej pościeli śniegu, podróżny zbliżał się do bram Zaborowa. Nie odczuwał w tej chwili bólu ani gniewu, ale jakąś palącą chorobliwą ciekawość. Badawczym wzrokiem przyglądał się wszystkiemu. Drzewa pozostały te same stare, ręką jego ojców i dziadów sadzone. Mniejsze wydały mu się niż przed laty. I dom ten sam. Nie zniesiono starej ruiny. Na podwórzu był ruch przedświąteczny. Gdy wchodził w bramę minęło go dzieci kilkoro otulonych w chustki, z książkami w ręku. Kobieta niosąca wodę zatrzymała się przed nimi.

— Cóż to, i dzisiaj chodziliście na nankę?

— Nie, dziś pani tylko o Narodzeniu Pana Jezusa opowiadała.

Obcy człowiek słyszał i zdziwił się. Ruszył ramionami i szedł dalej.

Na ganku dziedzie łamał się opłatkiem ze sługami. Podróżny stanął z boku i dziwnie wzruszony przypatrywał się temu człowiekowi: wysoki, silny, barczysty z twarzą ogorzałą, na której wielka energia i cichy smutek jakiś zlewały się w jeden ton i mimowoli budziły sza-

cunek. W kruczonych włosach gdzieś widać było nie białą. Wogóle niepodobnym był do ognistego chłopięcia, które rzewnymi łzami zęgało odjeżdżającego brata.

Mógł mu się przypatrzeć dobrze, bo gdy ludzie odeszli, on jeszcze stał i zadumany patrzył przed siebie.

Podróżny podeszedł doń.

— Nazywam się „Brzozowski” — rzekł z ukłonem — Wracam z Ameryki. Dom mój daleko jeszcze. Spóźniłem się na święta i ciężko było ten dzień Wigilii samotnie przepędzić. Powiedziano mi, że pan i obcego rad przyjmiesz. Jeśli się omylił, przepraszam za śmiałość i odchodzę.

Gospodarz, który ze zdziwieniem spoglądał nań od początku, na ostatnie słowa odwrócił się żywo. Ta twarz szlachetna, nacechowana cierpieniem budziła zaufanie.

— Ach nie! Witam pana! — zawołał — Znajomy czy nieznajomy, w ten dzień wszystko jedno, tembardziej wędrowiec stęskniony, i to z Ameryki. Proszę, uważaj pan ten dom za swój rodzinny.

I gościnnie zapraszał do wejścia, nie zważając, że podróżny na słowa „zwłaszcza z Ameryki” drgnął nieznacznie.

Po chwili fala światła ich oblała; weszli do pokoju.

— Wando — rzekł gospodarz — Pan Bóg dał gościa zdaleka, zza oceanu.

Przyjmij-że go.

I ciszej szepnął jej słów kilka.

Biedny tułacz drgnął całym ciałem. Nie śmiał podnieść oczu na tę, co zbliżała się doń lekko, mówiąc przyciszonym głosem:

— Witamy pana całym sercem.

Ach, ten głos! Wszystka krew zbiegła mu do serca. Przycisnął je ręką, by uśmierzyć bicie.

Patrzyli zdziwieni na tę twarz nędną i tak strasznie pobladłą.

Poniesli go prawie do kominka, posadzili przy ogniu, gospodarz pośpieszył z kieliszkiem wina.

Wanda wyszła; uspakajał się powoli. Z kąciku dwie główki dziecięce wychyliły się ku niemu ciekawie.

— Chodźcie dzieci — zawołał ojciec — Ty mój mały tyś zawsze zuch i odważny, chodź pierwszy.

Do nieznajomego zbliżył się chłopczyk czteroletni, czarny, kędzierzawy, z ciemną cerą i oczami ojca, i z miną pełną fantazyi podał mu drobną rączkę.

— A ty, Ewuniu, chodź, dziewczynko! — Pociągnął za rękę jasnowłosą ośmioletnią dziewczkę z modremi, zapatrzonemi oczyma, które nieznajomemu przypominały jakieś inne dawno widziane kiedy i jakie? — nie wiedział. W tej chwili zawezwano gospodarza.

— Muszę pana pozostawić z dziećmi, wracam natychmiast.

Malcy z początku nieśmiało, później z coraz większym ożywieniem zabawiali gościa. Dał im się zaprowadzić do drugiego pokoju, gdzie mu mieli swoje zabawki pokazać. Rozglądał się, przypatrywał starym ścianom. Wszystko było tak samo, jak za życia jego rodziców.

Wanda nic nie zmieniła, nie przestawiła żadnego sprzętu. Czy jej ta przeszłość tak droga była?

Ach, jak tu dobrze, jak cicho! Zdawało mu się że śni. Ot temi drzwiami wejdzie za chwilę matka i wyciągnie do niego rękę, jak wtedy, gdy w szkolnym mundurku do domu na święta przyjeżdżał. Ach ona-by go poznała! Sen to, sen...

Na ścianie wisiały portrety. Jeden przybył nowy, — to jego fotografia w dużym formacie. Przypatrywał się sobie jakby komuś obcemu, którego dzieje znał dobrze, a który nie był nim samym.

Cóż to jest? Naokoło jego wizerunku wieniec z listków bluszczu. Przystrojano go jak starą ruinę... albo jak bohatera.

— Kto to? — zapytał dzieci, wskazując na portrety.

— To babcia i dziadzio, już nie żyją. To tatus i mama.

— A to?

— To stryj — szeptem odpowiedziała dziewczynka.

— An on czy żyje?

— Nie, on umarł w Ameryce, ale nie trzeba tak głośno mówić.

— Dlaczego?

— Bo mamie przykro, jak to słyszy.

— Mama płacze — dodał chłopczyzna.

Ścisnęło mu się serce. Oplakiwany jako umarły! Więc pomyłka, jakaś wieść fałszywa może... Ach czemuż nie pisał?!

Dzieci zaciągnęły go znów na dawne miejsce przy kominku.

Chłopczyk bez ceremonii usiadł mu na kolanach, dziewczynka wpatrywała się w niego błękitnymi oczkami.

Bolesnie mu było i smutno, a przecież dobrze.

Drzwi się otworzyły, weszła Wanda.

Zebrał wszystką odwagę i spojrzął na nią. Nie był pewien. Przed nim stała kobieta blada, zmęczona, z jakimś wyrazem smutnej, szyderczej rezygnacji na twarzy. Oczy tylko były te same czarne, żywe, to łagodne, to namiętne znowu.

— Dzieci, nie męczcie pana, — zawołała — przepraszam za moich maleców.

Musiały panu dokuczyć.

On trzymał w objęciach jej synka.

— Nie, pani — wymówił z trudnością — niech pani im pozwoli być przy mnie.

— Ha, kiedy pan takim przyjacielem dzieci, to proszę zawrzeć znajomość i z tym najmłodszym pieszczochem moim.

Wzięła z rąk niańki kilkomiesięczne niemowlę i pokazywała mu je z łagodnym uśmiechem. Miało taksamo czarne oczki i czarne włosy, jak rodzice i starszy braciszek. Spojrzął na Ewunię, której złocistymi warkoczami zabawiało się maleństwo, i mimowoli nasunęło mu się na usta:

— Czy to także córeczka państwa? Daruje pani — dodał po chwili — ale tak niepodobna do reszty rodziny...

— W istocie, panie — odpowiedziała, korzystając z chwili, w której dzieci zajęte zabawą z niemowlęciem słyszeć jej nie mogły — to dziecko nie jest nasze, a przecież nasze najukochańsze. Jest to wnuczka starego przyjaciela rodziny, gospodarza z tej wsi. Dziadek nie żyje oddawna, rodzice jej umarli przed kilku laty, a dziecina została naszą córeczką.

W tej chwili wszedł Józef, za nim domownicy i służący z wieczerzą.

Po tyłu, tyłu latach rozłamał znowu opłatek i usiadł do stołu zasłanego sianem. Posadzono go koło pani domu; z drugiej strony miał Ewunię. Z początku cisza panowała uroczysta; może w myśli dzielono się opłatkiem z tymi, których przy tym stole zabrakło.

Potem rozmowa używała się, wszyscy, nawet dzieci wzięli w niej udział. On milczał. Nie pannał już nad rozbujaanymi myślami, nad odmemtem wspomnień.

Z każdego kąta pokoju wysuwały się ku niemu postacie dziwne, pamiętne...

Dziadek Ewuni wskrzesił ich wszystkich i wiódł ku niemu.

Czasem na chwilę ten tłum krwawych cieni zapadał w mgłę, a z mgły tej występowały złote blaski dzieciństwa. Szalał.

A ile razy przywołano go do rzeczywistego życia, jedno spojrzenie na jasną główkę Ewuni porywało go znowu w zapadły świat przeszłości.

— Tadiu, podaj panu chleb — usłyszał koło siebie i mary pierzchły.

To było jego imię.

— Tadeusz — powtórzył mimowoli.

Ona spojrziała na niego pytającym wzrokiem.

— Miałem w Ameryce przyjaciela tego imienia — odpowiedział w formie wymówki.

— Przyjaciela? Opowie nam pan o nim?

— Nie warto, to smutna historia, pani.

Uśmiechnęła się dziwnie, jakby nie chciała wszczynać dyskusji, a uśmiech sam mówił: „Sądziś, że mi smutek rzecz nowa?”

Wieczera się kończyła, dzieci prosząco i ciekawie spoglądały na matkę.

Ona podniosła się, mówiąc:

— No, przejdźmy do tamtego pokoju. — Otworzyła drzwi. Na środku światłem kilkunastu świec płonęło marzenie dzieciennych główek, tajemnicza leśna choinka...

Stały olśnione, potem z okrzykiem radości tańczyć poczęły koło drzewka. Rodzice przypatrywali im się, upojeni na swój sposób.

— Dzieckiem być zawsze warto, nieprawda, pani! — rzekł Józef, zwracając się do brata; nieznajomy kiwnął smutnie głową.

Tymczasem Wanda zbliżyła się do dzieci i szepnęła im słów kilka.

Jeden uśmiech matki dodał im odwagi.

Ewunia stanęła pod zielonemi gałęziami choinki, z których potoki różnokolorowego światła spływały na jej wzruszoną twarzyczkę i oczki wzniesione do góry.

— No teraz bawcie się dzieciaki, a my chodźmy do kominka — zaproponował pan domu.

— Słyszałem przy stole obietnicę daną mojej żonie i moję prośbę dołączam także. Opowiedz nam pan o tym przyjacielu, którego ci Tazio imieniem swoim przypomni. Nie jest to z mej strony próżna ciekawość, wierz mi pan. Ot i żona. Siadaj, Wandziu.

Usiadła, oczy przysłoniła ciemnymi powiekami i teraz wydała mu się jeszcze bardziej zmęczoną, jeszcze bleśszą i smutniejszą niż przedtem.

— Cóż państwu opowiem? Historia wiecznie tasama. Dzieje tęsknot niewypowiedzianych słowem, bólów śmiertelnych żalów niepowrotnych...

Co prawda rozmaicie Pan Bóg ludzi stwarza. Jedni popłaczają, potęsknią potem pogodzą się z losem i przywykną.

On przywyknąć nie mógł, on ani na chwilę nie zapominał o tem, co za oceanem zostawił. A nie skarżył się, nie rozpamiętywał jak drudzy. Milczał. I chyba tylko olbrzymy amerykańskich puszczy, chyba sępy i wichry w polu widziały jego łzy.

Szczęście szło mu w ręce, on nie chciał obce go szczęścia. Amerykanka pragnęła go poślubić — odwrócił się od niej; jej ojciec dawał mu miliony, — odrzucił; ziemia amerykańska odslaniała przed nim dziewicę piękności swoje — on oczy zamykał, a zamknawszy, widział mgieł swoich тумany, czuł woń rodzinnych borów, słyszał oddalony dzwonek wiejskiego kościoła, i wtedy łzy, rzęście łzy leciały mu z oczów. Dwanaście lat takiej męki, dwanaście lat!

— Jak on się nazywał? Jak on się nazywał?

— Nazwisk miał wiele, nie wiem które było prawdziwe, najdłużej zwał się „Zaborowski.”

— I on umarł? — pytała gorączkowo.

Zawahał się.

Chciał zawołać już „On stoi przed tobą; kiedy już nie możesz czem innem, o ukochana bądź mu siostrą w życiu!” Ale nie, pokonał pokusę. Nie wolno mu już zakłócać ich spokoju. Czuję, iż mimo wszystkiego, on był pierwszą i jedyną miłością.

Nie wolno, nie godzi się.

— On umarł — wyrzekł z wysiłkiem. — A mnie czas podziękować za chleb i za serca i pójść na dalszą włóczęgę.

— Jakto? chciałbyś pan teraz, na noc? Nie pozwolimy na to: nieprawda Wando?

Obstąpili go oboje, zapraszając serdecznie. On spuścił głowę na piersi. Już i tak zadługo bawił pod tym dachem.

— Nie, nie. Puśćcie mnie — prosił — pamięć o was zachowa tułacz na zawsze, ale pozostać nie może.

I nie wiedziała blada kobieta; dlaczego na rękę jej, do pożegnania wyciągniętą, spadała gorąca

lza i nie wiedział mąż jej: dlaczego obcy człowiek, którego gościnnie na ganek wyprowadził, prosił go, by mu się pozwolił uściskać.

Pogaszono światła, matka ułożyła dzieci do snu i anioł spokoju rozpostarł skrzydła nad cichym smutnym domem.

A śnieg padał wciąż białymi płatkami i przysypywał ślady stóp wędrowca.

Helena Ceyssinger.

Wiadomości z Hygieny i Medycyny Popularnej.

Mieszkania Warszawskie.

Skutkiem ukazania się na widok publiczny „Sprawozdania z ankiety sanitarnej“, dokonanej w początkach r. b. przez studentów Uniwersytetu—kwestya mieszkań warszawskich weszła na porządek dzienny, i z tego względu, pragniemy w dzisiejszej naszej pogawędce higienicznej nieco bliżej nad nią się zastanowić. A jest to kwestya niezmiernie doniosłości, albowiem w wypełnieniu warunków, wymaganych przez higienę, czyste, suche, widne, przestronne mieszkanie odgrywa pierwszorzędną rolę.

Uzdrowienie Warszawy posunęło się w ogólności w ostatnich latach znakomicie naprzód, w szczególności zaś przyczyniła się do tego w wysokim stopniu kanalizacja, jakkolwiek jeszcze nie skończona w zupełności, lecz w każdym razie, wypełniająca przynajmniej częściowo swą funkcją należycie, i co najważniejsza, z dobrym i widocznym rezultatem.

Przedewszystkiem słówko ogólne o mieszkaniach.

Zadaniem mieszkania jest chronić lokatorów od wpływów atmosferycznych. Przedstawia ono ściśle ograniczoną przestrzeń, w której człowiek, stosownie do swych potrzeb, może i powinien regulować ilość powietrza, wilgotność, i utrzymywać w należytej czystości. Osiąga się to za pomocą: nadania mieszkaniu właściwej wielkości, materiału z jakiego się buduje, gruntu, urządzenia wentylacji i t. p. Względędy te mogą być naturalnie zaspokojone głównie przez budujący dom, bardzo jednakże wiele sam lokator przyczynić się może do utrzymania w mieszkaniu czystego powietrza, suchości i czystości. Powietrze mieszkania jest dla rodziny tem, czem powietrze miasta dla wszystkich jego mieszkańców. Działa ono zawsze, stosownie do jakości, bezpośrednio na stan zdrowia. Każdy człowiek przepędza w swem mieszkaniu przeciętnie około ośmiu godzin dziennie, wiele zaś osób, szczególnie kobiety i dzieci, przebywają w niem znacznie dłużej; wpływ przeto mieszkań na zdrowotność ludności jest nadzwyczaj doniosłego znaczenia. Dowodzi tego niebicie pojawienie się owych „epidemii domowych“, chorób, porażających jedynie mieszkańców pewnych domów, których stan higieniczny prawie zawsze pozostawia bardzo wiele do życzenia.

Każdy lokator potrzebuje odpowiedniej ilości powietrza, światła i wody niezbędnych do utrzymania zdrowia, dalej powinien być zabezpieczony od wpływów wilgoci gruntowej i atmosferycznej a także posiadać możność pozbywania się jaknajrychlej odpadków wszelkiego rodzaju, które zanieczyszczają swą obecnością powietrze.

Zobaczmy teraz ze „sprawozdania z ankiety“ o ile tym warunkom staje u nas się zadość.

Warszawa zajmuje przestrzeń, w stosunku do ludności, która wyraża się w liczbach jak 1:13,4, t. j. że na jednego mieszkańca przypada 13,4 sążni kwadratowych. Miasto nasze pod tym względem zajmuje trzecie miejsce między wielkimi miastami Europy, gęstsze zaludnienie po-

siada tylko Paryż (6,9 sążni kwadrat.) i Berlin (11,8 s. kw.). Wiedeń daje już 15,3, Londyn 17,5, Moskwa 20,2, a Petersburg 21,8 sążni kwadratowych, na jednego mieszkańca. Co do dzielnic miasta, to gęstość zaludnienia przedstawia się rozmaicie.

Nie tylko same domy, *resp.* pokoje posiadają wpływ na zdrowotność mieszkańców, bardzo wiele oddziałują także podwórza i ulice. Przedewszystkiem jednakże przyjrzeć się wypada domom mieszkalnym.

Gród syreni z włączeniem Pragi posiada około 5.000 possessyji mieszkalnych, w których skład wchodzi 9.309 budynków murowanych i 6.577 drewnianych. Domy te posiadają 5.139, z których zaledwie 10-ta część wyasfaltowanych podwórz lub wybrukowanych. Liczba wodociągów na podwórzach jest jeszcze bardzo ograniczoną, posiada je zaledwie 1.860 posesyji, a w mieszkaniach jest ich wszystkiego 1.362.

Mieszkań w Warszawie znajduje się 87.583 z nich 34.083 o jednym pokoju z przedpokojem lub z kuchnią, a więc pierwszych 40%, drugich zaś 21 2/3%.

Liczba mieszkańców, przypadających na jeden dom, jest w Warszawie znacznie większą, aniżeli w innych miastach Europy. I tak np. w Londynie przypada przeciętnie na jeden dom tylko 8 mieszkańców, w Paryżu 30 a w Warszawie przeszło 90. Possesji zamieszkałych więcej niż przez sto osób posiada Warszawa 40%, a w tej liczbie znajduje się dwadzieścia dwa domy, które mieszczą w sobie od 500 do 1.183 lokatorów.

Że w tych warunkach, utrzymanie niezbędnej czystości, szczególnie przy wrodzonej lub też nawykowej niechlujności znacznej części mieszkańców, przedstawia nie mało kłopotu, to chyba nietrudno sobie wyobrazić.

Co do podwórz, to bardzo mało jest takich, któreby odpowiadały w zupełności wymaganiom higieny; reforma w tym względzie musiałaby być gruntownie przeprowadzoną.

Warszawa posiada 255 ulic zabudowanych domami. Z nich 26 wznosi się na dziesięć metrów powyżej zwykłego poziomu wody w Wiśle. Dalej dziesięć ulic wznosi się wszystkiego od 10 do 20 metrów po nad poziom Wisły. Na tych dwóch kategoriach ulic stoi 507 domów, z których około trzysta, w czasie powodzi, zalewanych bywa przez wodę, a nadmienić wypada, że powódzie u nas wydzierają się bardzo często, czasami po dwa razy do roku.

Długość ulic warszawskich waha się między 53 (Kamienne schodki) a 1.750 (Aleja Jerozolimska) sążni. Długość jednakże ulicy pod względem zdrowotnym jest podrzędnej roli, główną rolę odgrywa szerokość i wysokość stojących na niej domów. Ta ostatnia nie powinna przenosić połowy szerokości ulicy, tymczasem przepis ten mało gdzie jest urzeczywistniony.

Średnia szerokość ulic warszawskich dosięga 7 sążni. Czterdzieści siedm ulic ma tylko pięć sążni szerokości, a trzy ulice nawet nie posiadają całkowitych dwóch sążni szerokości. Nawet ulice położone w centrum miasta oznaczają się niezwykle wąskością (3 do 4 sążni), że dla przykładu przytoczymy tu tylko taką Daniłowiczowską, Kapitulną, lub Warecką.

Bardzo wiele ulic w Warszawie znajduje się w tak oplakany stan pod względem zdrowotnym, że jedynie przeprowadzenie kanalizacji i połączenie bezwarunkowo wszystkich domów przykanalikami, może zaradzić złemu.

Jak dotąd prawie wszystkie jeszcze domy położone na krańcach miasta, pozbawione są kanalizacji i tu mieści się główna przyczyna, że w dzielnicach tych więcej panuje chorób i większą jest śmiertelność, aniżeli w położonych w centrum miasta.

Mówiliśmy o szkodliwym wpływie wilgoci w mieszkaniach. Otóż ogólna liczba daje dwadzieścia pięć odsetków mieszkań z widocznymi śladami wilgoci, a ulice: Alexandrya, Brzozowa, Bugaj, Browarna, Czerniakowska, Długa, Fabryczna, Furmańska, Górna, Krzywe-Koło, Koźła, Ko-

ścielna, Leszno, Litewska, Moskiewska, Nowo-Miejska, Piwna, Ptasia, Przyrynek, Rymarska, Sowia, Szczygła, Sosnowa, Tamka, Wiśłana, Wielka i Zajęcza, posiadają więcej niż połowę wilgotnych lokali.

Przyczynę tego szukać należy w niskim położeniu ulic odnośnie do poziomu rzeki, w wysokim stanie wód zaskórnych, dalej w przepelnieniu mieszkań lokatorami, dla których bardzo często jeden pokój służy za sypialnię, kuchnię, pralnię, i wreszcie w wadliwym, skutkiem spekulacji budowaniu domów, braku wentylacji, niedostatecznym opalaniu i t. p.

Dziś już wyróżniają się znakomicie pod względem sanitarnym domy, w których przeprowadzono kanalizację; statystyka wykazuje w nich mniejszą śmiertelność. Niepodobna przeto powątpiewać że z chwilą ukończenia jej, ogólny stan zdrowia mieszkańców się poprawi, a następstwem tego będzie zmniejszenie się śmiertelności, która była w Warszawie jedną z największych w Europie.

Ciekawą i zarazem bardzo smutną ilustracją co do mieszkań warszawskich, przedstawiają sprawozdania, o mieszkaniach, a raczej norach stróżów warszawskich.

Doprawdy, że przyjrzeć się im można tylko z prawdziwym wstrętem, a jednak wzroku odwracać nie można, chociażby dla tego, że w norach tych spędza życie 14.000 ludzi, że mają oni bezpośrednią styczność z resztą lokatorów i skutkiem tego bywają częstokroć szerzycielami różnorodnych chorób zaraźliwych. Stróż lub stróżka, czy też ktoś z ich rodzeństwa, wypełniają u lokatorów różnorodne usługi, są niejako pośrednikami z gospodarzem, nie przeto dziwnego, że stan sanitarny ich mieszkań, zajął obszerne miejsce w „sprawozdaniu“ i bezwarunkowo zasługuje na to ze względu bezpieczeństwa innych lokatorów.

Mieszkania stróżów rozdzielić można na dwie grupy: na mieszczące się w suterynach, o których jeszcze obszerniej pomówimy poniżej, stanowią one piątą część wszystkich lokali cerberów warszawskich, i na mieszczące się na parterach, a tylko w rzadkich wypadkach na pierwszych lub drugich piętrach.

Suterynowe mieszkania, jeżeli dom nie posiada w ściśle znaczeniu tego słowa suteryn, zajmowanych także i przez innych lokatorów, stanowią piwnicę, obok której w sąsiednich przechowują się drzewo, węgiel, statki domowe, kartofle kapustę i t. p.

Co do przestrzeni, to są one jak wogóle wszystkie piwnice dosyć przestronne, i zawierałyby dostateczną ilość powietrza dla mieszkańców gdyby posiadały okna i gdyby dochodziło do nich światło słoneczne. Tymczasem dzieje się wprost przeciwnie: wentylacja jest niemożliwą, a światło dzienne nie dochodzi, skutkiem tego lokatorzy, tych prawdziwych podziemi: skazani są na duszenie się zepsutem powietrzem i na ciągłą noc.

Mieszkania tego rodzaju bywają bezustannie oświetlone lampą naftową, która bez wyjątku wydziela kopeć i swąd. Ściany pokryte są wilgocią i pleśnią, podłogi zazwyczaj wcale niema, piecyk najczęściej żelazny, wydzielający zaduch a w dodatku zaciekanie wody podczas deszczu, oto obraz piątej części mieszkań naszych stróżów.

Mieszkania na parterze, szczególnie owe klitki drewniane, przystosowane do schodów a dokładnie zaopatrzone w szpary i pozbawione okien i pieców, niewiele lepiej się przedstawiają pod względem zdrowotnym, od mieszkań w tak nazwanych suterynach.

Mieszkania na pierwszym i drugim piętrze, w tym ostatnim razie prawie zawsze pod strychem, należą do prawdziwych wyjątków.

Tego ostatniego typu mieszkania, odpowiadające niezbędnym warunkom zdrowotnym, dadzą się bez przesady policzyć na palcach.

Jest jeszcze kategoria stróży nieposiadających wcale mieszkań; przepędzają oni noc w kuchni u gospodarza, na szlabanie w bramie, lub wreszcie gdzie Bóg da!

W taki to sposób mieszka 14.000 istot licząc rodziny stróżów; w jakim sposobie może się dziecko wychować w nich bez nabawienia się choroby? To też żoły, angielska choroba i suchoty należą do rzeczy powszednich, a choroby zaraźliwe dziecięsiatują te nieszczęśliwe maleństwa!

Z mieszkań tych tylko 35% zajętych jest przez osoby dorosłe, w pozostałych są i dzieci, które wraz z rodzicami spijają na wilgotnych podłogach i skutkiem tego wyrastają na istoty chorowite, jeżeli przedwczesna śmierć nie przetrze tego prawdziwie tanelowego żywota.

A teraz jeszcze przyjrzeć się wypadom mieszkaniom suterynowym.

Smutnym jest los ludności, która zmuszona jest przemieszczać w lokalach podziemnych. Nad kwestyą zapewnienia ludności robotniczej higienicznych mieszkań, zastanawiali się nie tylko budowniczy, inżynierzy, gospodarze lecz i socjaliści, demagodzy, słowem: ludzie najróżnorodniejszych idei i kierunków. Doprawdy chyba całego życia nie starczyłoby na przeczytanie tego wszystkiego, co w tym względzie napisano, a jednak po dziś dzień kwestya ta nie została rozstrzygnięta.

Z góry nadmienić wypada, iż jedynym radykalnym środkiem zaradzenia złemu, byłoby zupełne skasowanie mieszkań suterynowych. Tymczasem dotąd według wykazów ankiety sanitarnej, dwie trzecie mieszkańców naszego miasta zajmuje lokale niehigieniczne, których jedna piąta część stanowią właśnie owe lokale suterynowe: ciemne, wilgotne i brudne. Strach pomyśleć, że w nich przemieszkują piąta część naszej ludności. Pozbawione one są w części okien, niezbędnych dla wpuszczania świeżego powietrza i światła "dziennego, w części pieców do ogrzewania podczas zimy.

W Warszawie 1.707 domów posiada mieszkania suterynowe, w których żyje 26.175 ludzi, pozbawionych koniecznych warunków do utrzymania zdrowia.

To też śmiertelność między mieszkańcami Warszawy jest prawdziwie zatrważająca. Od roku 1877 do 1884 wynosiła trzydzieści sześć na tysiąc a zatem przeszło dwa razy była większą, aniżeli np. w Londynie, w którym tylko siedemnaście na tysiąc umiera.

Przyczyny tego nie należy szukać w warunkach klimatycznych i tellurycznych, są one o wiele lepsze, aniżeli w znacznej części innych wielkich miast Europy, lecz właśnie w przemieszkowaniu w niehigienicznych lokalach. Dowodem tego fakt, że w innych miejscowościach gubernii warszawskiej umierało o 1½% mniej, aniżeli w Warszawie.

W ostatnich czasach śmiertelność zmniejszyła się, co bezspornie przypisać należy wprowadzeniu kanalizacji, a wątpić nie można, że stopniowo będzie się zmniejszać. Londyn wydaje rocznie miliony na uzdrowienie miasta i osiąga z tego znakomite korzyści. Trzeba i u nas pod tym względem być hojniejszym, a oszczędności zaprowadzać w innych, mniej żywotnych, wydatkach!

Dr. Józef Starkman.

Z bieżącej chwili.

— Według dzienników petersburskich, wprowadzenie nowego prawa o polowaniu, ma nastąpić z dniem 13 Stycznia 1892 roku.

— Donoszą z Petersburga, że fabryki zabawek dla dzieci, otrzymują wykazy farb nieszkodliwych, jakie jedynie mogą być używane do zabarwienia wyrobów tychże fabryk.

— W Wilnie otwarto przytułek noclegowy bezpłatny, składający się z oddziału kobiecego i męskiego.

— W pobliżu Grodna, zakupiony został przez p. Kazimierza Gryntysa, kandydata nauk fizyko-matematycznych, obszeru ogród z celem założenia tam szkoły z programem częstochowskiej szkoły p. Zawady. Założyciel odbywał pięć lat trwające studia ogrodnicze.

— „Kraj“ podaje odezwe p. Towiańskiego niegdyś właściciela Zelazowej Woli, że dom w którym urodził się tam Szopen już nie istnieje i że jedyną pamiątką po Szopenie jest tam stara lipowa altana.

— „Gwiazdka“ w Resursie Obywatelskiej przyniosła blisko 4.000 rs.

— Kalendarz wydany przez redaktora „Gazety Świątecznej“ Promyka, „Gość“ zawiera obok zwykłego działu kalendarzowego notatnik dochodu, wydatków i różnych spraw odnoszących się do każdego miesiąca, opis Królestwa z mapką, przepisy pocztowe i telegraficzne, koleje, miary, wagi.

— W pierwszych dniach Stycznia Towarzystwo Dobroczynności, otworzy sześć nowych kuchni tanich, z których każda będzie wydawała po 100 porcyi dziennie, a na Pradze i Szmulowiznie po 150, nadto w okolicach ulicy Ślizkiej niezależnie zaś od tego zupa rumfordzka wydawana będzie w cyrkule I i XI po 50 porcyi więcej, również wydawana będzie herbata z chlebem po 150 porcyi z funduszu ofiarowanego przez J. Bersona. Przy ulicy Pokornej wydawanych będzie, tak jak i lat poprzednich po 150 porcyi.

— Coroczny dodatek ilustrowany do gazety „Wiek“ zawiera treść nieco zmienioną. W miejscach drobnych utworów literackich wierszem i prozą czytelnik znajduje drzeworyty i opisy miast prowincjonalnych. Rzecz bardzo zajmująca.

— P. Wincenty Rapacki złożył dyrekcji Teatrów Warszawskich nowy swój utwór „Histryon“. Jest to tragedia w pięciu aktach, treść wzięta jest z epoki prześladowania chrześcijan przez Dyoklecjana.

— obrońca prokuratury, adwokat Perkowski ogłasza o dwóch wakujących spadkach. Jeden wynoszący 6.693 rs. mieści się w depozycie Banku Państwa, a jest po Maryannie Labe v. Laby, zmarłej w Warszawie w r. 1888. Drugi po Adamie Skibińskim zmarłym w dniu 31 Grudnia r. 1852 r. Jeżeli po upływie sześciu miesięcy nie zgłoszą się odpowiednio wylegitymowani sukcesorowie, spadki przejdą na skarb.

— W Paryżu zmarł znany literat i powieściopisarz Bulwer Lytton.

— Pod przewodnictwem Juliusza Kossaka zawiązał się w Krakowie komitet z celem popierania budowy pomnika dla Fredry ojca w Krakowie.

— Na posiedzeniu Krakowskiej komisji sztuki, mieszczącej się przy Akademii Umiejętności p. Ziemięcki wykazał na podstawie znanej ryciny Pontiusa z 1624 r., iż słynny obraz Rubensa, znajdujący się w Geni w pałacu Durazzo Pallavicini, jest niewątpliwie portretem Władysława IV jeszcze jako królewicza.

— Prof. Ulanowski złożył Akademii dzieło należące do seminarium gnieźnieńskiego, a zawierające między przedmiotami innej treści, teorię muzyki z pierwszych lat XVI wieku. Zabytek ten starożytny powierzono w odpisie ks. Surzyńskiemu do opracowania.

— Na uniwersytet Jagielloński w Krakowie zapisało się 174 prawników, 91 medyków, 44 filozofów i 17 teologów.

— We Lwowie ma być wzniesiony staraniem Koła Literackiego pomnik znakomitego komedjopisarza hr. Alexandra Fredry. Odsłonięcie pomnika nastąpi w setną rocznicę jego urodzin d. 20 Czerwca 1892 r.

— Towarzystwo muzyczne lwowskie ogłosiło sprawozdanie roczne, w którym wykazuje rozpo-

częte już rokowanie skutkiem których wydział krajowy odpowiedział, iż utworzy przy konserwatorium Towarzystwa oddział kształcenia artystów tak dramatu jak opery. Dochody Towarzystwa wynosiły w ubiegłym roku 14.492 złr. wydatek 14.430. Członków czynnych liczy Towarzystwo w orkiestrze i chórach 102. Konserwatorium muzyczne ma 17 professorów, uczennice jest 205.

— W Pradze wyszedł przekład czeski „Konrada Wallenroda“ dokonany przez Józefa Śladka. Przedmowę napisał Edward Jelinek. Jest to już przekład drugi tego poematu; pierwszego dokonał w 1837 r. ks. Wacław Stule.

— „Kalendarz dla rzemieślników“ jest nowością wśród wydawnictw naszych tego rodzaju i nowością pożądaną a cel, wypowiedziany w przedmowie bardzo chwalebny. Redaktor, p. Wyszomirski, pragnie, aby to był „doradca i przyjaciel rzemieślnika“, tłumacząc się przecież we wstępnym słowie, że brak odpowiednich środków — brak zupełny poparcia ze strony wyższych sfer rzemieślniczych i przemysłowych, nie dał mu w tym roku pierwszym dokonać tego, czego pragnął. Książeczka też to jest malenka, krótkie artykułiki mogą jednak zająć i zajmują „Konkurencja i Solidarność“ Józefa Holewińskiego, „Na czarną godzinę“ powiastka bez podpisu autora, rzecz króciutka, a przecie zajmuje i wzrusza, bo pisana z uczuciem, z odblyskiem talentu. Równie dobrze czyta się skreślone na dwóch stroniczkach wspomnienie s. p. Bolesława Brodzkiego z drzeworytem i całość, jako początek pożytecznego przedsięwzięcia, przedstawia się dobrze, tylko „Słowo wstępne“ razi błędem gramatycznym przeciwko prawom języka, bo nie „śledzi się za przewrotami“ ale „śledzi się przewroty.“ Potrzebna jest przecież ze strony redakcyi uwaga tem większa, że czytelnik ma tu szukać kształcących go wzorów. Życzyć należy, aby w roku przyszłym kalendarz powiększył objętość, a treść w kierunku specjalności swojej zбогаcił.

— Trzy najnowsze obrazy Siemiradzkiego zostały wystawione we Lwowie, w Towarzystwie Sztuk Pięknych. Na ostatniem posiedzeniu tegoż Towarzystwa uchwalono wzniesienie własnego gmachu na pomieszczenie dzieł sztuki i wybrano w tym celu komisyję, której skład tworzą: p. p. Belza Władysław, hr. Borkowski, Toziński Wład., Młodnicki, Dr. Till i prof. Zacharyewicz. Towarzystwa zwróciła się do Rady Miejskiej z petycją o bezpłatne udzielenie gruntu pod tą budowę. Ruch sprzedażny dzieł sztuki za pośrednictwem Towarzystwa wzrasta; w ostatnich czasach zakupiono z jego wystawy 26 obrazów.

— Sierotom wychowanym u Dzieciątka Jezus, lub u S-go Kazimierza, a znajdującym się w prywatnej służbie czy w terminie u rzemieślników, udzielane być mogą wsparcia z sumy 70 rs., zapisanej na ten cel przez Józefa Krzyżanowskiego. Podania przyjmować będą kuratorowie tych zakładów, u których wychowywał się proszący.

— Pod tytułem „Przeciwko materializmowi“ wychodzi w Sztutgardzie cały szereg ulotnych pism i broszur. Pierwsze miejsce trzyma tu Carriere'a „Materyalizm i estetyka“, G. Behr'a „Myśli robotnika o Bogu i świecie“ z przedmową prof. Ziegler'a, D-r von Haussen'a „Materyalizm w literaturze“.

— Towarzystwo Osad Rolnych urządza jak corocznie, w czasie wielkiego postu, szereg odczytów w liczbie dziesięciu. Odbywać się one będą w sali ratuszowej.

— W Zakopanem, mimo ostrych już przymrozków nocnych i szronów porannych, dnie są przy stałej pogodzie słoneczne i ciche, więc tak ciepłe, że w południe dostateczną jest odzież letnia, ale w pomieszkaniach źle zaopatrzonych chłody dokuczają. Świeżo otwarty bazar spółki zakopańskiej dostarcza dobrego i o wiele tańszego towaru, niż bywało dawniej w sklepach i sklepikach

mało rzetelnych przekupniów. Gazdowie z całej okolicy tu się zaopatrują wyłącznie, towar otrzymują dobry, z wypłatą na raty kwartalne, co nie wpływa bynajmniej na podniesienie ceny, a ratuje ich to od lichwy, od drapieżnego wyzysku. Tylko ruch budowlany nie jest takim, jakim być-by powinien, i przybędzie Zakopanemu na przyszłą wiosną dziesięć domów tylko.

— Trzechsetletni jubileusz Komeniusza obchodzić będzie bardzo uroczyste czeski świat pedagogiczny w d. 28 Marca 1892 r., jako w trzechsetną rocznicę urodzin znakomitego pedagoga i myśliciela, który przyszedł na świat w Morawii. Już zawiązał się w Czechach komitet, złożony z ludzi poświęconych nauce. Do naczelnych zasług Komeniusza należy, to że on pierwszy usuwając dominującą podówczas w nauce jego kraju łacinę, dał inicjatywę do wykładu nauk w języku ojczystym, wykazując jak umysł potrzebuje tego aby pracował więcej przez myślenie, niż pamięć. Komeniusz upominał się też gorliwie, aby skala wykształcenia umysłu kobiet została podniesioną.

M Y Ś L I

— Jeżeli masz duszę wyniosłą, idź zawsze prawą stroną drogi a nie będziesz potrącany łokciami śpieszących się naprzód.

— Szczęście, przychodzące po cierpieniu, ma smak czystej, chłodnej wody.

— Książki są nam potrzebne, nie dla tego, czego nauczają, ale dla tego co podsuwają naszej myśli.

— Łatwiej jest do zniesienia nieszczęście, które już nas uderza, niżeli nieszczęście, którego się spodziewamy; lecz szczęście oczekiwane jest zawsze większem od szczęścia urzeczywistnionego.

— Rozrywki światowe nie leczą nigdy z cierpienia głęboko odczuwanego. Każdy, kto boląc

kiełkolwiek wie, jak smutnym był nazajutrz po zabawie wesołej.

— Mniej jest na świecie renegatów, niż przypuszczamy. Aby być renegatem trzeba zdradzić jakąś miłość, jakąś wiarę, którą się miało.

— Przesady są jak cele wywieszane w strzelnicach. Gdy ktoś trafiwszy w sam środek, strzańska tarczę, natychmiast wywiesza się inną.

Marya Valyère.

Do dzisiejszego numeru „Bluszcza“ dołącza się Arkusz 5-ty powieści pod tytułem: **Omyłka**, przez R. Norrissa. Przekład z angielskiego.

Encyklopedia Ilustrowana MEDYCYNY I HYGIENY POPULARNEJ

według dzieła

D-ra Pawła Bonami

Laureata Akademii Medycznej w Paryżu

w opracowaniu

D-ra Józefa Starkmana.

Złożona z 90 ark. in 8-o i ozdobiona 160 rycinami wyszła z druku.

Dzieło to zawiera niezbędne dla każdego wiadomości z Medycyny i Hygieny, wyłożone w spo-

sób jasny i przystępny, głównie zaś sposoby udzielania pomocy w razie nagłej choroby i w braku lekarza.

Cena w Warszawie rs. 8. Poczta rs. 9.

Wyciągi z recenzji.

(Z „Tygodnika ilustrowanego“ Nr. 4 — 90 r.). „...Widać, że „Encyklopedia“ ma cele popularne, że jest dla wszystkich, że zamyka się w bardzo umiejętnie nakreślonych granicach przystępności, nie dając czytelnikowi tego, co słusznie i konieczne winno być tajemnicą wiedzy ścisłej, nieokrywającej się zasłoną tylko dla jej kapłanów więc lekarzy. Wszystko zresztą pisane jest tak poważnie, jasno, popularnie, a tak dalekie od drażliwości (anatomicznych, fizjologicznych i t. d.), że dzieło znaleźć się może bezpiecznie w rękach każdego czytelnika i czytelniczki, na półkach każdej biblioteki domowej. Z tych właśnie względów obiecuje się ono najkorzystniej i ukazanie się jego powitać się godzi ze szczerem zadowoleniem, a popierać bardzo gorąco“.

(Z „Przeglądu Katolickiego“ Nr. 3—90 r.). „Dzieło to polskie opracowanie i do naszych stosunków zdrowotnych zastosowane przez Józefa Starkmana, może przyczynić się wiele do rozszerzenia wiadomości higienicznych i stać się dogodnym podręcznikiem do niesienia pierwszej pomocy lekarskiej tam gdzie lekarza nie ma, lub wreszcie mieć go nie można“.

(z „Gazety Warszawskiej“ Nr. 5—90 r.). „Wydawnictwo „Encyklopedyi“ witaliśmy już na tem miejscu, jako bardzo pożądane i przedsięwzięte przez biegłego specjalistę. Przeglądanie pierwszego zeszytu utwierdza nas w pochlebnem dla tego dzieła mniemaniu. Wykład objaśniony za pomocą rysunków, znaleźliśmy nie tylko starannym i dostępnym, ale nawet niekiedy zajmującym, co w książkach dla szerszego ogółu zaletę stanowi. Społeczeństwo nasze, aczkolwiek posiadał, Sniadeckich, Malczów, Le Brunów, Mianowskich, Girsztowtów i Chałubińskich, powoli dopiero przychodzi ku należytej ocenie doniosłości higieny, może więc teraz weźmie głębiej do serca rozsądne uwagi lekarza“.

(z „Kuryera Codziennego“ Nr. 5—90 r.). „Encyklopedia ilustrowana“ w odracowaniu D-ra Starkmana, zawiera wyczerpujące dla niespecjalistów wiadomości, opisy są treściwe, jasne, zrozumiałe dla każdego, wydanie jest bardzo staranne, nie ustępuje oryginałowi, zdobi go znaczna ilość rycin objaśniających treść. Z prawdziwym pożytkiem znaleźć się może w każdym domu i rzeczywiście na rozpowszechnienie zasługuje“.

(z „Gazety Radomskiej“ Nr. 37—90 r.). „Z przyjemnością zaznaczyć możemy, że dzieło podobne nie tylko, że ma rację bytu, lecz jest nawet dobrodziejstwem dla inteligentnej publiczności, pragnącej się zapoznać z kardynalnymi pojęciami o chorobach i mniej więcej o leczeniu. Wydawnictwo więc D-ra Starkmana, zasługuje ze wszelkich miar na uznanie. Słowem w „Encyklopedyi“ znajduje się dużo wiadomości pożytecznych i obznajmienie się z niemi dla publiczności uważać można za konieczne“.

D-r E. Drewnowski.

(z „Gazety Lubelskiej“ Nr. 37—90 r.). „...Encyklopedia medycyny i higieny“ znajdować się powinna w każdym domu“.

OD WYDAWCY.

„Bluszcza“ w przyszłym roku wychodzić będzie pod dotychczasową redakcją.

Szanownym prenumeratorom z prowincyi przypominamy wczesne wznowienie prenumeraty, dla uniknięcia zwłoki w przesyłce numerów.

TREŚĆ: W szarej godzinie (wiersz). przez Antoniego Pileckiego. — Droga przez las. Powieść, przez Autorkę „Na starym gruncie“ (dokończenie). — Ruch muzyczny, przez Juliusza Stattlera. — Powrót, przez Helenę Ceysinger. — Wiadomości z higieny i medycyny popularnej. Mieszkania Warszawskie, przez Dr. Józefa Starkmana. — Z bieżącej chwili. — Mysli, przez Maryę Valyère.

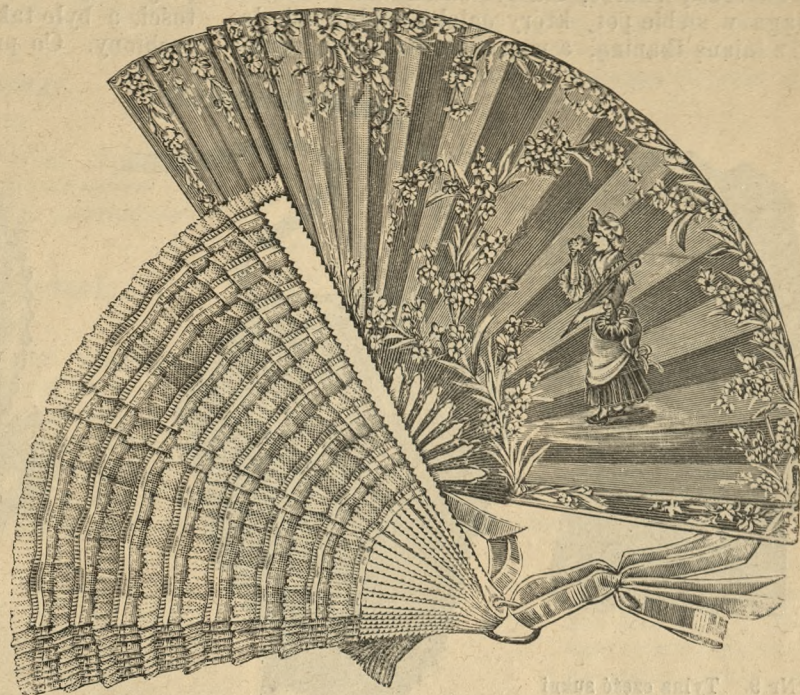
Dodatek obejmuje: Arkusz 5-ty powieści, pod tytułem: **Omyłka**, przez R. Norrissa. Przełożona z angielskiego. — Przegląd mód. 46 — wzorów ubiorów i robót z opisem. — **Sekrety gospodarskie.** — **Dyspozycja stołu.**



Nr 1 i 2. Wachlarze wieczorowe.



Nr 3. Monogram.



Nr 4 i 5. Wachlarze wieczorowe.



Nr 6. Paltot z wyłożeniem z futra.
(Krój i opis pierw. str. tabl. Nr III, fig. 18—21).

PRZEGLĄD MÓD.

Nowy fason paletotów u pana Herzego i nowe garniowanie.—Bieliżna kolorowa.—Batysty i barchany używane na takową u pani Heurich, róg Miodowej.

Widać, że i w Paryżu niema zimy, bo żurnale przepełnione są tylko nowymi fasonami paletotów, między innymi jeden nowy, który bardzo naturalnie jest u pana Herzego, model w kolorze czarnym, bo w zimie to kolor właściwszy na okrycie, ani śnieg, ani deszcz go nie zepsuje, w Paryżu zaś najwięcej noszą tej zimy okrycia w kolorze skóry zwierząt, zowiąc ten kolor „châtaigne” niby kasztan, jest to cień brązowo-czerwonawy. A więc ów paletot jako forma niema nic wspólnego z dawnymi



Nr 7. Suknia z adamaszku
(do ryc. Nr 45). Opis pierw. str. tabl.)

Nr 8. Suknia z materiału wełnianego ozdobiona haftem „à jour” (do ryc. Nr 33). Opis pierw. str. tabl.

lonu o aksamitnej powierzchni; obszywa się tem całą żakietkę wraz z przodami a oprócz tego dół sukni, garniowanie to ma wielkie powodzenie w Paryżu.

A teraz słówko o bieliźnie, która musi być zawsze na pierwszym planie u każdej prawdziwie eleganckiej kobiety. W Paryżu od kilku lat przyjęła się z powodzeniem bielizna kolorowa, u nas nie może wejść w prawdziwe czyli w ogólne użycie, pomimo, iż bardzo wiele kobiet używa jej już oddawna. Ma ona swoją bardzo dobrą stronę i sądzę, że dla tego myślimy się z nią nie zżyły, że w całym kraju noszą przeważnie bieliznę płócienną, kolorowa zaś jest zawsze bawelniana. Ta ostatnia jak twierdzą lekarze, ma być daleko zdrowsza, bo wciąga w siebie pot, który daleko trudniej się łączy z lnianą tkaniną, a potem na dzisiejsze ciężkie

pełni, a kto wie czy nie było i słońca, które jednak nie świeciły swym blaskiem, ale jako na materyale przeznaczonym na nocne koszule lub kaftaniki, milutko a cichutko się manifestowały. A co za barchany! już od kilku lat widzimy w witrynach dziwnie piękne okazy tych rzeczy francuskich fabryk, są droższe wprawdzie od krajowych, ale pomimo całej mej życzliwości dla fabrykacji naszej, nie mogę nie przyznać, że owe francuzkie wyglądają jak materye, a co najważniejsza, że nie zmieniają koloru po kilkunastu nawet praniach; widziałam pewną młodą, co prawda ładną blondynkę w kaftaniku z niebieskiego turkusowego barchanu, kupionego u panien Heurich, przybranych koronkami, w łożu Teatru Rozmaitości, a było tak ładnie, że jakby z „crêpe-chine“ zrobiony. Co prawda francuzkie kosztują po 40

które od razu należy odkładać dla oddzielnego a właściwego prania,
L. C.

Fartuszek ozdobiony koronką klockową.

Rycina Nr 2 w Bl. Nr 52).

Fartuszek z materyału jedwabnego adamaszkowego koloru białego. Skrajać część 66 c. długą a 55 c. szer. Część górną założyć na 1 c. i utworzyć główkę marszczoną, dalej przemarszczyć 3 razy w odstępach 1 c. na 25 c. szer. Otoczyć koronką klockową 11 c. szer. w dolnym brzegu, po bokach zaś zwężoną jak wskazuje ryc. do 4 cent. szer. w górze.



Nr 9. Tylna część sukni
Nr 21.



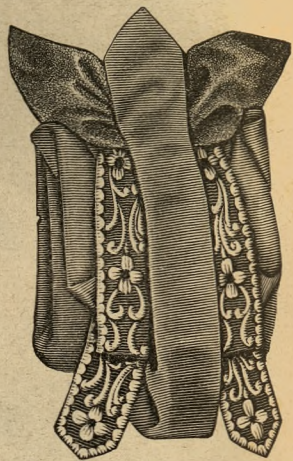
Nr 14. Mufka odpowiednia do kapelusza
Nr 18. (Opis pierw. str. tabl.).



Nr 11. Egreta.



Nr 12. Egreta.



Nr 10. Mufka odpowiednia do toczka Nr 19. (Część przednia do ryc. Nr 20). Opis odwr. str. tabl.



Nr 18. Kapelusz!
z aksamitu i koronki!
(do ryc. Nr 14). Opis
pierw. str. tabl.



Nr 19. Toczka i mufka z materyału wełnianego (do ryc. Nr 10 i 20). Op. odwr. str. tabl.



Nr 15. Przybranie stanika.



Nr 16 i 17. Mufka i kapelusz z piór.



Nr 13. Egreta.



Nr 20. Tylna część mufki
Nr 10.

czasu koszt bawelny jest o wiele mniejszy niż płótna, a zatem częściej można odnowić całą bieliznę w fasonie modnym.

Oglądaliśmy w tych czasach wielki ale to nieprzebrany wybór tych rzeczy w składzie pani Heurich, róg Miodowej, gdzie nam wyrzucono przy drobnym zapotrzebowaniu całe stosy tych rzeczy od najtańszych do najdroższych. I tak: batysty kolorowe na koszule lub inną bieliznę w desenie berbersu, drobnych muszek, kółek, groszków, fasolek i t. p. we wszystkich kolorach na odpowiednich tłach. Śliczny był batyst koloru jasnego dala z kremowym rzutem, lub niebieskie tło tak zwane „bleu porcelaine“ w ciemniejsze gwiazdki, były tam i pół-księżycy na nowiu i w

kop. a nasze po... 20... Pokazywano nam także desenie przeznaczone głównie na negliże ranne, to jest na kaftany długie zwane „matinée“ ze spodniczką lub szlafroczki z odmiennymi przodami. Wzory te były głównie w pasy lub tureckie desenie. Ponieważ mowa o bieliźnie, więc ośmielam się dać czytelnikom moim jedną radę: oto, aby każdą sztukę, potrzebującą reperacji, od razu reperować kazały, zanim się dostanie do kosza, tym sposobem niema ambarasu przy rachowaniu bielizny do prania wyszukiwać podartych i w dniu kiedy jest większa praca zajmować się reperacją. To samo zastosować należy do pończoch, które niezacerowane przed praniem drą się w praniu daleko gorzej. Naturalnie i do sztuk zaplamionych,

Żabot z krepy.

Rycina Nr 6 w Bl. Nr 52.

Żabot z krepy różowej z brzegiem odpasowanym. Skrajać część 34 c. szer. a 86 c. długą i ułożyć podług ryc. w sposób, ażeby dolne dwa końce zeszyte z sobą tworzyły szpic.

Poduszeczka do szpilek na toaletę.

Rycina Nr 11 w Bl. Nr 52. (Deseń odwr. str. tabl. Nr XL fig. 54).

Poduszeczka w kształcie wałka wypełniona pachnącymi otrąbkami, pokryta aksamitem koloru łososiowego, ozdobionego haftem wykonanym rozpolowaną filozelą w tymże kolorze, jako też niebieskim i oliwkowym w kilku cieniach, ścięciem

giem gałazkowym, supelkowym i dzierganym, podług deseni fig. 54. Na wykonanie nagłówków po bokach, należy krajać dodać materiału na 2 c. i takowy ściśle zmarszczyć złożoną podwójnie, przyczem ozdobić koronką 50 c. dług. a 10 c. szer. W końcu przewiązać wstążką koloru łososiowego 1 c. szer. i wykonać pukle podług ryc. z wstążki koloru jasno-oliwkowego, jasno-niebieskiego i żółtawego.

Krawatka wykonana szydełkiem.

Rycina Nr 14 w Bl. Nr 52.

Krawatka wykonana włóczką knotową tkaną z jedwabiem koloru niebieskiego. Rozpocząć na założeniu 13 o. (tam i napowrót).—1 kolej: o. opuścić, potem ciągle 1 ści. o. w każde o. — 2 kolej: 1 pow. o., potem ciągle 1 ści. o. w przednią żyłkę następ. ocz. — 3 do 40 kolei jak kolej poprzednia. Rząd luków ciągle naprzemian: 1 ści. o. w następ. o., 8 pow. o. a w każdym rogu wykonać 2 ścis. o. przedzielone 8 pow. ocz.

Serwetki (ścieg płaski, krzyżowy i stebnowany).

Rycina Nr 16—20 w Bl. Nr 52.

Serwetki wykonane na tkaninie „kongros“ koloru żółtawego, rozmaitego koloru jedwabiem do prania i bawełną żółtą. Każda jest wielkości 80 c. w kwadrat. Sposób wykonania haftu wskazany wyraźnie na ryc. 16, 17 i 20.

Koronka wykonana na drutach.

Rycina Nr 24 w Bl. Nr 52.

Koronka wykonana w poprzek niemi na cien-

kich drutach. Rozpocząć na założeniu 7 ocz. i na tychże: 1 kolej: oczko, zebrać na drut, 6 o. zwy.— 2 kolej: o. zebrać na drut, 1 o. zwyc., 2 razy drut owinać, 2 o. odwr. razem przerob., 2 o. odwr., 1 o. zwy. — 3 kolej: ocz. zebrać, 3 o. zwy. z następ. 2 owiniętych 1 o. zwy., 1 o. zwy. drózką przerob., 2 o. zwy. — 4 kolej: zebrać na drut, 2 o. zwy., 2 razy dr. owin., 2 o. odwr. razem przerob., 2 ocz. odwr., 1 o. zwy.—5 kolej: zebrać na dr., 3 o. zw. z 2 owinię. 1 zwy., 1 zwy. drózką przerob., 3 o. zwy.—6 kolej: zebrać o. na dr., 4 o. zwy., 2 razy dr. owin., 2 o. odwr. razem przerob., 2 o. zwy. — 7 kolej: zebrać o. na dr., 2 o. zwy. z owinię. nitki 1 zwy. o., 1 o. odwr., 5 o. zwy. — 8 kolej: 3 o. odcepić, ale odcepienie o. zamiast jak zwykle przerob. zwy. przerobić odwr., 6 o. zwy. Powtarzać ciągle 1 do 8 kolei.

Szlak (gipiura siatkowa).

Rycina Nr 25 w Bl. Nr 52.

Szlak wykonany na prostej siatce, może być poszywany zarówno bawełną jak jedwabiem i w takim razie służyć może do ozdoby przedmiotów garderoby damskiej.

Koronka wykonana na drutach.

Rycina Nr 26 w Bl. Nr 52.

Koronka wykonana białymi niemi w poprzek na założeniu 5 o. — 1 kolej: o. zebrać na dr., 4 o. odwr.—2 kolej: ocz. zebrać na dr., 2 o. zwy. 4 razy dr. owinać, 2 o. zwy. — 3 kolej: ocz. zebrać na dr., 1 o. zwy. z następ. 4 owin. 1 ocz. zwyc., 3 o. drózką przerob., 3 o. zwy. — 4 kolej: o. zebrać na dr. 8 o. zwy. — 5 kolej: o. zebrać na dr., 1 o. zw.,

3 razy naprzemian: dr. owin., 2 ocz. odwr. razem przerob., 1 o. zwy.—6 kolej: o. zebrać na dr., 8 o. zwy.—7 kolej: 4 o. odcepić, ale ciągle przerabiać zamiast zwyc. odwrotnie, 3 ocz. odwr., 1 o. zwy. Powtarzać ciągle 2 do 7 kolei.

Woreczek „pompadour“ z materiału jedwabnego i pluszu.

Rycina Nr 27 w Bl. Nr 52.

Na woreczek skrajać 2 części 26 c. dł. a 24 c. szer. repsu jedwabnego koloru żółtawego w deseń chiński, zaopatrzyć podszewką z muslinu, dolny brzeg zaokrąglić i na 9 c. odległości od górnego brzegu połączyć pasem pluszowym koloru „fraise.“ Brzeg zewnętrzny górny, również pluszem obłożony, dalej zaś podszewka z materiału jedwabnego. Złote sznury i wstążka morowa wykończają całość podług ryciny.

Stoliczek pokryty haftem.

Rycina Nr 28 w Bl. Nr 52.

Stoliczek w formie palety, pokryty grubym jedwabnym materiałem koloru oliwkowego, ozdobionym haftem, wykonanym rozpołowioną filozelą niebieską, poziomkową, brązową i oliwkową w kilku cieniach, oraz złotą plecioneczką. Brzeg zewnętrzny otoczony pluszem koloru poziomkowego 2 c. szer. i frendzlą z grełotek w odpowiednich kolorach.

Lalki.

Rycina Nr 29 i 30 w Bl. Nr 51.

Parka papug, które bardzo łatwo wykonać samemu, z drążków drzewa spajanych za pomocą waty, nadając kształty i obszywając w perkal. Wierzchnie przybranie stanowią papierki strzępione w rozmaitych kolorach i złote blaszki.

Poduszka składana.

Rycina Nr 31 w Bl. Nr 52. (Deseń pierw. str. tabl. Nr VI, fig. 30).

Podwójna poduszka wykonana ze skóry lub z materiału jedwabnego. Części połączyć sznurowaniem z złotej plecionki. Każda część ma 36 cent. dług a 26 cent. szer., wypchana puchem i pokryta skórą koloru czerwonego, ozdobioną gałazką, wykonaną podług fig. 30, filozelą rozpołowioną w kolorach: poziomkowym, oliwkowym i jasno-niebieskim w kilku cieniach. Kielichy wielkich kwiatów wykonane sznelą oliwkową ścięciem płaskim, „Janina“ i gałazkowym. W górnym brzegu umocować w równych odstępach metalowe kółeczka odpowiednie do przewlekania złotej plecionki podług ryciny.

Wachlarze balowe i wieczorowe.

Rycina Nr 1, 2, 4 i 5.

Wachlarz z drzewa złoczonego oraz białego lakierowanego, z kości słoniowej i perłowej masy, zdobne malowidłem lub haftem, wykonanym na materiałach jedwab-



Nr 21. Suknia dla paniienki od 11—13 lat² (do ryc. Nr 9). Krój i opis pierw. str. tabl. Nr I, fig. 1—10.

Nr 22. Suknia dla paniienki od 11—13 lat. (Krój i opis odwr. str. tabl. Nr VII, fig. 31—38).

Nr 23. Suknia dla paniienki od 13 do 15 lat. (Kr. i opis pierw. str. tabl. Nr V, fig. 25—29).

Nr 24. Suknia dla paniienki od 5—7 lat. (Krój i opis odwr. str. tabl. Nr IX, fig. 45—51).

Przybranie koronkowe balowego stanika.

Rycina Nr 15.

Część koronki 380 c. dług. a 16 c. szer. zmarszczyć na 103 c. obwodu i przyszyć do wstążki różowej jedwabnej 3 c. szer. pokrytej tiulem. Wykończyć podług ryciny puklami i kokardami ze wstążki podług ryc.

Kapelusz i mufka z piór.

Rycina Nr 16 i 17.

Kapelusz w rodzaju toczka i mufek, wykonany z błyszczących piórek ułożonych płasko. Ptaki z fantazyjnymi skrzydełkami wykończają całość.

Paski damskie.

Rycina Nr 25—27.

Paski ze skóry jasnej lub ciemnej, nakładane metalem ciemnym złotym lub srebrnym z odpowiednimi klamrami lub sznurowane.

Rozmaitego rodzaju mereszki.

Rycina Nr 29—34.

Mereszki, wykonane na tkaninie „kongres“, podług wzorów przedstawionych, które są tak wyraźne, że nie widzimy potrzeby szczegółowego opisu.

Obiad na Niedzielę.

1. Barszcz czysty z pasztecikami.
2. Sztufada z makaronem.
3. Groszek zielony z grzankami.
4. Indyczka z kasztanami.
5. „Crème brûlée“.

KORESPONDENCYA.

Odp. pani J. Sz...

W N-rze 49 „Bluszcza“ był obszerny artykuł o podaniach wieczornych i herbatkach, dziwię się, iż go pani nie czytała. Na okrycia plusze nie są już używane, zastępują je grube wełny, jak hymalaje, wigonie i inne materyały w kolorze czarnym.

Odp. pani Antoninie.

Sposobów zatracenia mrówek jest aż 6, a artykuł w „Bluszcza“ zbyt obszernie je traktuje—radzę więc pani zażądać od naszej redakcyi zagubionego numeru. W 3-ciem wydaniu „Poradnika porządku“ który jest pod prasą znajdzie pani powtórzony ów artykuł.

Odp. p. J. G. z nad Wisły.

Pyta pani jak się bawić na weselu bez tańca. Inteligentną rozmową, o co właśnie wszędzie i zawsze najtrudniej.

Odp. dokt. Jelce.

Odpowiadamy tylko przeniumeratorkom pisma naszego. Po Nowym Roku w numerze gospodarczym dam żądany przez panią przepis; co do użycia chlorku do bielizny.

Odp. stałej premii.

Garnitur furtzany jaki p. żąda mieć można od 15 już rubli, w składzie futer Starkmana w gmachu teatralnym. Zaścuszek do medaljonu będzie jż niezły za rs. 12.

Nr 29. Mereszka.

Nr 30. Mereszka.

nach. Kwasty lub wstążki wykończają całość.

Egrety.

Rycina Nr 11—13.

Egrety do kapeluszy lub przybranie głowy z piórek, bądź to z perełkami stalowymi, złotymi, czarnymi lub kolorowymi.

Nr 31. Mereszka.

Nr 32. Mereszka.

Nr 28. Czapka dla małego chłopczyka. (Krój i opis odwr. str. tabl. Nr X, fig. 52 i 53).

Nr 33. Mereszka.

Nr 34. Mereszka.

Nr 35. Frendzla do ozdoby sukien, płaszców i t. p. (robotą wiązaną) patrz ryc. Nr 37 i 46.

Nr 25 — 27. Paski.

Nr 36. Tylna część sukni Nr 8.

Nr 45. Tylna część sukni Nr 7.

Nr 46. Suknia z sukna ozdobiona frendzlą wiązaną (do ryc. Nr 35 i 37). Opis odwr. str. tabl.

Nr 7. Tylna część sukni Nr 46.

Nr 38 — 44. Trzewiki i buciki damskie. (Opis odwr. str. tabl.).